JULIUSZ SŁOWACKI

UTWORY LIRYCZNE

JULIUSZ SŁOWACKI

UTWORY LIRYCZNE

WYBÓR I UKŁAD STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO

KRAKÓW MCMX J. MORTKOWICZ

KRAKÓW. – DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

— DVCH · SWÓJ · TV · ODEMKNĄŁ · BOGATSZY · OD · SKRZYNI · CEDRÓW · SALOMONOWYCH·

PIOSNKA DZIEWCZYNY KOZACKIEJ.

Dzisiaj, i co dnia, z blaskiem miesiąca
Idę w las krętą drożyną,
Wybieram kwiat ten z kwiatów tysiąca,
Nad którym rosła brzoza płacząca,
Nad którym łzy moje płyną.
Jak z obłąkanej ludzie się śmieją
Nie znają ciężkiej mej straty;
Ja zbieram kwiaty — kwiaty więdnieją,
Ja znowu idę po kwiaty.

Nieraz łza płynie gorzka, ukryta,
Bo ciężkiej płaczę ja zguby;
Patrz, oto róża polna rozkwita,
Biała konwalia z różą uwita,
Mój drogi! drogi! mój luby!
Czy na ślub śpieszysz, czy tam w kościele
Czekają druhy lub swaty?
Ach!... kwiaty zwiędły — nie na wesele,
Ja zawsze idę po kwiaty.

Nie od rycerskiej zginął on stali:
Wznieśli mogiłę wysoką,
A ile garści piasku sypali,
Tyle mu przekleństw z piaskiem posłali —
Mój luby, śpi on głęboko.
Przekleństw nie słyszał, nie słyszał płaczu,
Nikt nie wdział żałobnej szaty;
Piasek pokrywa grób na tułaczu —
Ja co dzień idę po kwiaty!

Warszawa 28 grud. 1829 r.

BALLADA.

»Synu mój! Synu! czemu od rana
Jesteś tak smutny? twarz obłąkana,
Miecz krwawą splamiony skazą?«
»O! Matko! syn twój zabił sokoła,
Dlatego dzisiaj twarz niewesoła,
Dlatego we krwi żelazo«.

»Synu mój! Synu! po twym sokole
Nie miałbyś takich zgryzot na czole?
I miecz nie taki czerwony?«
»O Matko! Matko! zabiłem konia!
On mnie tak szybko nosił przez błonia,
Z wiatrami biegał w przegony«.

»Synu mój! Synu! źleś się obronił,
Możebyś po twym koniu łzy ronił,
Bladości inna przyczyna?«
»O Matko! Matko! ojca zabiłem!
Bladością zgryzot czoło splamiłem,
I we krwi ojca miecz syna«.

»Synu mój! Synu! po takim czynie
Gdzież się obrócisz? W jakiej krainie
Schronisz się, Synu mój miły?«
»O Matko! Matko! na świata kraniec
Pójdę wzgardzony, tułacz, wygnaniec
Spokojnej szukać mogiły«.

»Synu mój! Synu! idź w obce strony!
Lecz cóż zostawisz dla dzieci, żony,
Pod obce uchodząc nieba?«
»O Matko! Matko! niech na nich spada
W dziedzictwie nędza, pod próg sąsiada
Niech idą, niech żebrzą chleba«.

»Synu mój! Synu! w czarnej żałobie
Została matka i cóż po sobie
Zostawi matce zabójca?«
»O Matko moja! O Matko miła!
Przekleństwo tobie! tyś mnie namówiła,
Żem zabił ojca«.

[Z »MARYI SZTUART«].

HYMN.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
Wolności rośnie krzew,
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Podnieście głos rycerze
Niech grzmią wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże.
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy:
I tam są ludzie — i tam mają duszę.

Noc była.... Orzeł dwugłowy
Drzemał na szczycie gmachu
I w szponach niósł okowy.
Słuchajcie! zagrzmiały śpiże,
Zagrzmiały..... i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyń krzyże:
Spojrzał — i nie miał mocy
Patrzeć na wolne narody,
Olśniony blaskiem swobody,
Szukał cienia.... i w ciemność uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam Litwini!
Jeśli w Gedymina grodzie
Odpocznie ptak zakrwawiony:
Głos potomności obwini
Ten naród — gdzie czczą w narodzie
Krwią zardzewiałe korony.

Wam się chylić przed obcemi,
Nam we własnych ufać siłach;
Będziem żyć we własnej ziemi
I we własnych spać mogiłach.

Do broni bracia! do broni!
Oto ludu zmartwychwstanie!
Z ciemnej pognębienia toni,
Z popiołów Feniks nowy
Powstał lud — błogosław Panie!
Niech grzmi pieśń jak w dzień godowy.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon
I wolnych płynie krew,
Bogarodzico!
Wolnego ludu krew
Zanieś przed Boga tron.

POWIEŚĆ KOZACKA.

RUSAŁKA.

I.

Nad mogiłą, w mgłach wysoko
Krąży sokół, siadł na krzyżu.
Pod tym grobem śpi głęboko
Niegdyś Hetman, pan na Niżu.

Jeszcze sława Zaporoża,
Jako miesiąc blady, nowy,
Nie przebyła w czajkach morza,
Nie wzleciała nad ostrowy.

Na ostrowach rosły głogi
I samotna róża bladła.
Zapienione skalne progi
Mgliły błękit wód zwierciadła.

Przy Rusałce — wysp Hetmana
Widać było w blask miesiąca;
Jego luba z mgły uwiana,
Z mgły dnieprowej, zimna, drżąca.

Choć mroziła mglistą dłonią,
Zapalała czarnem okiem.
»Luby« rzekła... »tam się płonią
Polne róże nad potokiem.

»Dzwonki barwą lśnią błękitną, —
Uschną dzwonki na pokosach,
Lecz z różami, gdy przekwitną,
Rozkwitają w moich włosach«.

»Duchem zmarłych na tym świecie
Żyję, kwitnę jak mogiła.

Cóż po łąkach? cóż po kwiecie?
Niechaj uschną — bym ja żyła...«

»Czarna duszo! precz ode mnie,
Już miłości nie ocucę«! —
»Wyrzekasz się? lecz daremnie,
Znów zawołasz, — znów powrócę«.

II.

Rusałka się w mgłę rozpływa.
Nocą blady miesiąc świeci —
I po łodziach lśnią łuczywa —
I do Dniepru toną sieci...

Hetman smutny i ponury —
Płynie zwolna łódź Hetmana;
Przed nią postać z mglistej chmury,
Płomieniami malowana:

Taka piękna ponad falą,
Gdy się o nią blask roztrąca.
Wpół się ogniem lica palą,
Wpół się srebrzą w blask miesiąca.

W zachwyceniu, nieprzytomnie,
Choć to może duszy zguba,
Hetman wołał: »Chodź tu do mnie!
Chodź tu do mnie, moja luba!«

III.

Odtąd zawsze, zawsze razem...
Hetman w więzy lgnął widziadła,
Choć jej dusza zimnym głazem
Na twarz różne barwy kładła.

Zawsze piękna... z polnych głogów
Róże złote włosy wieńczą —
I kradzioną z nad porogów
Mgliste szaty złoci tęczą.

Gdzie zarastał gaj odludny,
Jednem słowem — jednym rankiem
Wzniosła z wyspy zamek cudny
I obwiodła złotym gankiem.

Z koralowej zamek cegły:
Wieża druga, trzecia, czwarta,
Na skinienie w niebo biegły.
Lud go nazwał zamkiem *czarta*.

W zamku, jak kładzione kosą,
Powiązała róż szkarłaty;
Brylantami jakby rosą
Poiskrzyła jasne kwiaty.

Hetman patrzał na kobierce,
Okiem blask brylantów ścigał:
Ciągle patrzał — stygło serce,
Dla Rusałki już ostygał.

Ta, choć zimna, pod obłokiem
Zimne serce wnet odgadła;
Szybko, szybko czarnem okiem
Brylantowe blaski kradła;

Kwiaty brała do warkoczy. —
Hetman spojrzał — wzrokiem tonął:
Nad brylanty skrzą jej oczy!
I znów kochał — i znów płonął.

»Luba! ty masz blask anioła.«
»Więc mnie nagródź, jeślim warta,

Daj sokoła — daj mi charta,
Zabij charta i sokoła«!

»Czarna duszo — precz ode mnie!
Sercem się z szatanem kłócę«. —
»Znów zawołasz, lecz daremnie!
Przyjdziesz do mnie — ja nie wrócę...«

IV.

Odpłynęła... Hetman kroczy
Zamyślony po komnatach.
»Co! — nie wróci?... a jej oczy
Takie cudne, włosy w kwiatach...«

Myślał... Z oczu łzy ogromne
Po niemęskiej płyną twarzy.
Rzekł do siebie: — »Już nie wspomnę!«
Nie wspomina, ale marzy...

»Nad zamglone chmur błękity
Oto miesiąc już się płoni;
Już mój sokół, chart zabity,
A jej niema?... pójdę do niej...«

Jakże miłe tchnienie wiosny!
I woń fali świeża, chłodna!
Nad porogiem czarne sosny
Szronem bieli mgła nadwodna.

Pod skałami ciągłe burze
Łamią w falach blask księżyca;
Nad falami w mglistej chmurze,
W blasku srebrnych tęcz dziewica.

Przy jej stopach chart bladawy,
Niespokojny i ponury;

Na ramieniu sokół mgławy,
Nastrzępiony, patrzy w chmury.

»Jakżeś piękna!« hetman woła,
»Któż ci może ujść bezkarny?
Chodź tu, luba — spłosz sokoła,
Chart niech leci gonić sarny«.

»Tu pod moich ust płomieniem
Twe się blade mgły rozpłonią.
Jak tu miło pod sosn cieniem!«
Prosi — błaga — okiem, dłonią.

Lecz dłoń jego — ciężka wina!
Czy przypadkiem czy po myśli
Na krzyż srebrną mgłę rozcina,
Znak zbawienia święty kryśli.

Przed krzyżem się mgły rozpierzchły,
Jak złamane wód błękity
I Rusałki rysy zmierzchły,
Obraz zniknął w mgłach rozbity...

V.

Znikła... słychać tylko burze
W głębi Dniepru — i szum piasków — —
Lecz mgła spływa, — spływa w chmurze
Zabłąkanych kilka blasków —

I rozbite mgły zwierciadła
Wiatr przybliża... zmniejsza, — zmniejsza:
Lśni Rusałka, lecz pobladła, —
I pobladła — i smutniejsza...

Potem rzekła... »O mój miły,
Żegnam ciebie, ginę, — ginę!

Jak mnie z wiatrem mgły rozbiły,
Tak w uściskach się rozpłynę«.

»Prosisz — błagasz nadaremno,
Próżno czekasz na tej skale:
Lecz chodź ze mną! lecz chodź ze mną!
Droga do mnie przez te fale«.

»Mgły tu zimne, ale jasne;
Gdy i ciebie mgła okryje, —
Patrz, mój luby — teraz gasnę,
W twych uściskach znów ożyję«.

»Sokół żywy, — chart twój żywy!
Z tobą razem jak z sokołem
Pójdę błądzić nad te niwy,
Nad dymiących chat padołem«.

»Pójdę z tobą — tak w mgłę ciemną
Osłoniona jak w krysztale. —
O chodź ze mną! o chodź ze mną!
Droga do mnie przez te fale«. —

Hetman kochał — obłąkany
Hetman kochał — ogniem płonął;
Z progu spojrzał w Dniepru piany,
Padł do fali i zatonął...

Gdy go skryły burz odmęty,
Potrzaskały w proch granity,
Duszę zbawił obraz święty:
Krzyż na piersiach miał wyryty.

Od grzechowej zmazy czysty,
Już ulata w nieba stropy;
Za nim wzleciał sokół mglisty,
Chart Rusałki rzucił stopy.

A Rusałka, nad ostrowy —
Sama jedna — we łzach woła:
»Kiedyż! kiedyż hetman nowy
Da mi serce, psa, sokoła?«

[ZE »ŻMIJI«].

PARYŻ.

Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona
Powstają gmachy połamanym składem,
Jak jedne drugim wchodzą na ramiona,
Gdzieniegdzie ulic przeświecone śladem.
Gmachy skręconym wydają się gadem: —
Zębatą dachów łuską się najeża.
A tam, — czy żądło oślinione jadem?
Czy słońca promień? czy spisa rycerza?
Wysoko — strzela blaskiem ozłocona wieża.

Nowa Sodomo! pośród twych kamieni
Mnoży się zbrodnia bezwstydna widomie
I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni,
Lecz nie deszcz Boży, nie zamknięty w gromie:
Sto dział go poszle..... A na każdym domie
Kula wyryje straszny wyrok Boga;
Kula te mury przepali, przełomie —
I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,
I większa jeszcze rozpacz, — bo to kula wroga.

I już nad miastem wisi ta dział chmura:
Dlatego ludu zasępione tłumy,
Dlatego ciemność ulic tak ponura,
Przeczuciem nieszczęść zbłąkane rozumy;
Bez echa kona słowo próżnej dumy,
O wrogach ciągłe toczą się rozmowy...
A straż ich przednia, — już północne dżumy
Obrońców ludu pozwiewały głowy
I po ulicach ciągły brzmi dzwon pogrzebowy.

Czy wrócą czasy tych świętych tajemnic,
Kiedy to ludzie zbytkiem życia wściekli,
Jedni pod katem, drudzy w głębi ciemnic,
Inni ponurzy, bladzi, krwią ociekli,

Co kiedy śmieli pomyśleć — wyrzekli?
Lud cały kona, katy i obrońce —
Dnia im nie stało, aby się wysiekli,
I przeczuwając krwawej zorzy końce,
Jak Jozue wołali: dnia trzeba, — stój, słońce!

I nie stanęło, — pomarli — przedwcześnie,
Lecz zostawili pamiątki po sobie:
Kraj, po rozlewie krwi tonący we śnie,
I lud, nie po nich, ubrany w żałobie, —
Krwi trójcę w jednej wcieloną osobie.
Ten jak Rodyjski posąg świecznik trzyma
I jedną nogę wsparł na martwym grobie,
Drugą na zamku królów... Gdzie oczyma
Sięgnął, — tam wnet i ręką dostawał olbrzyma.

A kiedy posąg walił się z podstawy,
Tysiące ludu sławą się dzieliło,
Każdy się okrył łachmanem tej sławy,
Każdemu było dosyć, — nadto było...
Marzą o dawnej sławie nad mogiłą
I pod kolumną śpiżu wszyscy posną,
Choć cięcie kata głowę z niej strąciło,
Choć na niej może, jak na gruzach, z wiosną
Chwasty z liliami Burbonów porosną.

Tu dzisiaj Polak błąka się wygnany,
W nędzy — i brat już nie pomaga bratu.
Wierzby płaczące na brzegach Sekwany
Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu, —
I całej nędzy nie wyjawię światu...
Twarze z marmuru — serca marmurowe, —
Drzewo nadziei bez liścia i kwiatu
Schnie, gdy wygnaniec złożył pod nim głowę,
Jak nad prorokiem Judy schło drzewo figowe.

. . . .
Zdala od miasta szukajmy napisów,
Gdzie wielki cmentarz zalega na górze.
O, jak tu smutno, kędy wśród cyprysów
Pobladłe w cieniu chowają się róże! —
A pod stopami — dalej — miasto w chmurze,
Topi się we mgieł gasnących opalu...
A dla żałobnych rodzin przy tym murze,
Przedają wianki z płótna lub z perkalu,
Aby dłużej świadczyły o kupionym żalu.

Patrz znów w mgłę miejską — oto wież ostatki:
Gotyckim kunsztem ukształcona ściana;
Rzekłbyś — że zmarła matka twojej matki,
W czarne, brabanckie koronki ubrana,
Z chmur się wychyla jak duch Ossyana...
Ludzi nie dojrzysz... Lecz nad mgłami fali
Stoją posągi (gdzie płynie Sekwana),
Jakby się w Styxu łodzi zatrzymali
I przed piekła bramami we mgłach stoją biali.

Tam gmachy Luwru, gdzie tron Baltazara,
A na nim siedział wyrobnik umarły...
Przez dnie lipcowe panowała mara,
U nóg jej ludzie snuli się jak karły,
Bo nad nią cienie śmierci rozpostarły
Wielkość olbrzymią — był to król narodu.
I aksamity krew mu z czoła starły,
Lecz jego dzieci umierały z głodu:
Zaczął dynastyą trupów, był ostatnim z rodu.

GODZINA MYŚLI.

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczery,
Są hymnem tego świata — a ten hymn posępny,
Zbłąkanymi głosami wiecznie wniebowstępny,
Wpada między grające przed Jehową sfery,
Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta,
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze!
Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy
Jedną godziną myśli — trzeba w przeszłość wrócić
I przeszłość jako obraz ściemniały i płowy,
Pełny pobladłych twarzy, ku słońcu odwrócić...
I ścigać okiem światła obrazu i cienie,
Jak lśniące rozpryśnionych mozaik kamienie.
Tam — pod okiem pamięci —
pomiędzy gór szczytem
Piękne, rodzinne miasto wieżami wytryska
Z doliny, wązkim nieba nakrytej błękitem:
Czarowne, gdy w mgle nocnej wieńcem okien błyska,
Gdy słońcu rzędem białe ukazuje domy,
Jak perły, szmaragdami ogrodów przesnute.
Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute
I z szumem w kręte ulic wpadają załomy.
Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem,
Większa nad inne — miastu panująca cieniem;
Stary, posępny zamek, który czołem trzyma,
Różne przybiera kształty — chmur łamany wirem;
I w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma,
A w nocy, jak korona kryta żalu kirem,
Często szczerby wiekowe przesuwa powoli
Na srebrzystej księżyca wschodzącego twarzy.
W dolinie mgłą zawianej, wśród kolumn topoli
Niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy,

Niechaj myślami z kwiatów zapachem ulata,
Niechaj przeczuciem szuka zakrytego świata;
To potem wiele dawnych marzeń stanie przed nim,
I ujrzy je zmysłami, pozna zbladłe mary.
Karmił się marzeniami jak chlebem powszednim,
Dziś chleb ten zgorzkniał,
piołun został w głębi czary.
Do szkieletu rozebrał zeschłe myśli ciało,
Odwrócił oczy, serce już myśleć przestało.

Gdy lampa gaśnie, kiedy pieśń piastunek ścicha,
Kiedy się małe dziecko z kołyski uśmiecha,
Ma sen całego życia... A gdy tak przemarzą,
Dzieci na świat nieznany smutną patrzą twarzą
I bladem przerażają czołem od powicia:
Smutne pomiędzy ludźmi — bo miały sen życia.

Wśród Litewskiego grodu,
w ciemnej, szkolnej sali
Siedziało dwoje dzieci — niezmieszani w tłumie:
Oba we współzawodnej wykarmieni dumie,
Oba wątłej postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Pierś mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem;
Włos na czole dzielony na ramiona spadał
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.
Ludzie nieraz: »on umrze« mówili przed matką:
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy
I przeczyła z uśmiechem —
lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie,
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga, —
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Wśród ciemnej, szkolnej sali było drugie dziecię:
Włos miało jasny, kolor oczu lazurowy.
Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne,
Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
Do licznych nauk dziennie palące czuł głody,
Trawił się — jego oczy ciemne i błękitne,
Jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte
I godzinami myśli w nieruchomość wbite,
Tonąc w otchłań marzenia, szły prostymi loty
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.
Gdy patrzał w niewidziane oczyma obrazy,
Ludzie obłędność w oczach widzieli — lecz skazy
Żadnej dostrzedz nie mogli. —
Młoda pamięć obu,
Ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,
Świadczyła o istności przedżywotnej ducha,
A przeczuciami życie widzieli do grobu:
I nic ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem,
I smutni nad przepaści życia stali brzegiem,
Nie odwracając lica. W ciemnej, szkolnej sali
Smutna poezya duszy dała dźwięk uroczy.
Na ciemnych, mglistych szybach zawieszając oczy,
Wiosną — wśród szmeru nauk, myśleniem słuchali
Szmeru rosnących kwiatów. A w zimowe pory
Biegli na błonia białym pogrzebane śniegiem;
Tam, prędkim po równinach zadyszani biegiem,
Twarze, umalowane zimnymi kolory,
Obracali na stronę, skąd przyjść miała wiosna,
I pierwszy powiew pili ustami jak życie.
Potem, gdy w wiosennego powietrza błękicie
W balsamy się rozlała czarna lasów sosna;
Znudzeni wonią kwiatów zmieszaną, stokrotną,
Wynaleźli woń tęskną — dziką i ulotną:
Była to woń wierzbami opłakanej wody;
Z cichej fali wstawała każdego wieczora,
Tajemnicze w powietrzu rozlewając chłody.
Potem jesienią — dzieci wyobraźnia chora,

Wypalona, igrała z żółtym liściem lasów,
Smutna, jak w starcach pamięć
przeminionych czasów.

Serce każdego równą miarę uczuć trzyma,
Smutna poezya duszy oba serca żywi;
Lecz wrażeniami duszy odmiennie szczęśliwi,
Odmiennie czuli. Dziecko z czarnemi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniom
dało myśl skrzydlatą
I wypadkami myśli żyło w siódmem niebie.
Młodszy — marzenia stroił czarnoksięską szatą,
A potem silną wolą rzucał je przed siebie,
I stawały — i widział przed sobą obrazy,
Od których się odłamał zimniejszym rozumem:
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślnym ludzi tłumem:
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.
Jego towarzysz, większy nauką i laty,
Nigdy od krain myśli nie odłamał życia;
Sprzągł razem i powiązał dwa niezgodne światy
I nieraz go śmiech ludzi,
śmiech, co czucia głuszy,
Budził — i rzeczywistość zimna roztrącała.
Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
Posągom jego myśli brakowało ciała.
Dusza jak w kryształowem zamknięta przeźroczu,
Patrzała na świat dzikiem obłąkaniem oczu,
Niezupełności wrażeń łamana katuszą.
Nieraz te dzieci, myślą dwoistą i duszą
Składały jedne, piękne całością obrazy.
W dnie wiosenne,
przy ścieżce piaskowej, na kwiatach,
Gdzie nad niemi różowe rozkwitały ślazy,
Gdzie wisznie jak dziewice,
w białych wiosny szatach,
Między zarumienione kryły się jabłonie;

Tam wzajem na ramionach opierając skronie,
Zamieniali słowami uczucia wzajemne.
Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne,
Nie rozumiejąc myślą. Z dziecinnego piasku
Na księgach Swedenborga budowali gmachy,
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku,
Niebu Tytanowymi grożące zamachy.

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,
W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane;
Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
Wiodą w światło idące, albo w ciemność duchy,
I świat tworów, w dwa takie rozłamany ruchy,
Wiecznie krąży. A dusza, z iskry urodzona,
Różnem życiem przez wieki rozkwita — i kona
Przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów:
W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów,
W człowieku myślą, światłem staje w aniele.
Raz wstępnym pchnięta ruchem,
ciągle w Boga płynie,
W doskonalszem co chwila rozkwitając ciele.
Człowiek się silną myślą w anioła rozwinie:
Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje
I będzie częścią Boga na żywiołów tronie;
Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie,
Jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje:
Ziemskimi sny ścigani — grzeszą myślą dumy
I co dnia, z łona Boga, dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię jak gwiazd zepchnięta lawina.
Każda się w kształty ziemskie krysztali i ścina
I rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,
Przechodzi w ludzkie, czuciem zardzewiałe twory, —
I będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie.
Patrząc na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,
Oni widzieli, którzy z łona Boga spadli,
I po schodzących szczeblach
szli w otchłań — i bladli.

W duszy dziecinnej woli czarnoksięska siła,
Ciągłem myśleniem, ciągłem rozwijana snuciem,
Niewyjawiona słowy — często w ludzi biła:
Zaczarowanie wolą nazwali — zaczuciem,
Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,
Którą z klęczących dziewic natrafiwszy losem,
Wołali na nią silnie niemym duszy głosem;
Wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła
I pośród tłumu ludzi jej wzrok, w zadziwieniu
Nieobłędnie rzucony, na twarz dzieci padał,
Jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał,
Jak gdyby ją po znanem wołali imieniu.

Nieraz starszy, błękitne topiąc w ziemię oczy,
Mówił: »słyszysz, mój luby, jak obecna chwila
Pada w przeszłość, rzucając dźwięk tęskny, uroczy?
Ona nigdy nie wróci, ona nas nachyla
Smutniejszemi twarzami w przeszłość upłynioną.
Szczęśliwy! twoje myśli świetniej w słowach płoną,
Niż gdy w sercu zamknięte — moje myśli gasną,
Słów niecierpią — lecz nieraz w godzinie tajemnic
Tłumnemi słowy w piersiach jak szatany wrzasną,
I wołają, ażebym je wypuścił z ciemnic,
Abym je wywiódł na świat — słów otworzył drogę.
Niech mi świat da poezyę — dać mu jej nie mogę.
W tłumie myśli,
mam przepaść wiecznie czczą myślami,
Przepaść ciemną, głęboką; napełnię ją życiem...
Jeżeli nie wystarczy, biada! ciągłem gniciem
Myśl się w martwą przekształci ciemnością i łzami;
Stanę się myśli grobem — lub umrę przedwcześnie.
Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie.
Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę:
Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów;
Myśl moja niewstrzymana w te krainy goni,

Chciałbym jak duch w kwiecistej roztopić się woni,
Chciałbym jak liść nieznany
paść tam w głębi lasów«.

Gdy tak marzył — to wisznie i kwiaty ogrodu
Bezwonne przed nim rosły, bo myśl dalej biegła
I wkrótce marzeniami ognistemi wschodu,
Zamknęła go w płomieni kole i obległa.
Więc pojechał do wielkiej na północ stolicy,
Gdzie długo patrzał w Koran, zwierciadło Kalifów,
Albo samotny słuchał wieków tajemnicy,
Wymówionej niepewną twarzą hieroglifów.
Po trzech latach nauki miał wziąć kij pielgrzyma.

Przez te trzy lata dziecko z czarnemi oczyma
Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
Widziałem go przy stopach dziewicy — anioła;
Czarnemi weń oczyma patrzała i bladła,
Myśląc o dziecka życiu, bo z wielkiego czoła
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła, —
Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała:
Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała
Czerniła się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną
Że wspomnieniami szczęścia —
chciała zbroić niemi
Przeciwko własnej duszy i czczym chwilom ziemi;
Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,
Że we wspomnieniach dziecka zlane, dały dźwięki
Podobne do miłości zeznanej wyrazu.
Ona umiała oczom nadać wzrok rozkazu,
I nieraz wstrzymać zamach samobójczej ręki.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło
Dziwnem wynalezieniem cierpiącego życia.

On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło
I rzucał w nie obecne chwile — i z odbicia
Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą
Obecnym chwilom życia. Taką myśli władzą
Śmiech nieraz słyszał,
wspomnień powtórzony echem,
Smutny i połamany przyszłością niepewną, —
I na wesołą chwilę twarzą patrzał rzewną,
A nieszczęście przyjmował pół-smutnym uśmiechem,
Patrząc na nie z przyszłości: —
Był to wzrok wędrowca,
Co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca,
I stamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Nieraz z dziewicą bory przelatywał ciemne;
Gdy pod ich końmi iskry sypały się z głazów,
Mówili wzajem myśli głębokie, tajemne,
Jak do snu kołysani — marzący jak we śnie.
A dziecię, bólem uczuć złamane przedwcześnie,
Po takich mowach ludzi chroniło się tłumu
I biegło w ciemne lasy — tam na dzikie wrzosy
Kładło się bladą twarzą, sosn słuchając szumu;
Tam, uśpionemu myślą, wiatr rozwiewał włosy,
A myśli rosły wielkie, ciemne, tajemnicze,
Jak gwiazdy ogromnemi płynące obroty.
Lub w niebo kładł się twarzą —
wtenczas na oblicze
Padało światło lasów, promień słońca złoty,
Pocięty cieniem liści w marmurowe plamy;
A potem w głębiach lasu wicher z szumem wzbity,
Nad głową mu odmykał gałęziste bramy,
Skąd w ciemne myśli nieba spadały błękity.

Po trzech latach ów drugi młodzieniec powrócił,
Biegły wschodnich narodów tłómaczyć się mową.
W otwarte dziecka ręce z rozkoszą się rzucił
I rzekł: »odjeżdżam na wschód, w krainę palmową«,

A potem umilkł nagle. O, jakże odmienny
Od marzącego dziecka! — pobladł — jego oczy,
Obłąkane jak dawniej, lecz wzrok miały senny.
Widać, że myśl, co niegdyś żywiła, dziś tłoczy
I wbija go do ziemi. — Jakaś tajemnica
Niedocieczona spała w rysach martwych lica.
Mało mówił — i tylko raz, wśród dzikich sosen,
Wykrzyknął z obłąkaniem: »Ginę marzeń zdradą!
Wysyłają mię w kraje bez zim i bez wiosen.
Chcą mnie zabić!« — a potem uśmiechnął się blado
I resztę zamknął w serca głębokim tajniku.
Potem, wziąwszy uściski matki, druhów, bratnie,
Odjechał — i w drugiego dziecka imionniku
Zapisał pożegnania wyrazy ostatnie:
»Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
Gdy będziesz myślą w złotej przeszłości się stawił,
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
Jak przeszłość zniknął, jak przeszłość nie wróci«.

Wkrótce potem... pamiętam...
o księżyca wschodzie
Drugie dziecię wśród ciemnej, dębowej ulicy
Siedziało pochylone przy stopach dziewicy.
Z drzew opadały liście i w całym ogrodzie
Zaledwo kilka kwiatów szronami srebrzystych,
Na niebie ledwo kilka gwiazd zabłysło mglistych,
Księżyc płynął samotny, las szumiał daleki.
Tego wieczora dziecię ustami drżącemi
Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki;
A potem bladą twarzą upadło do ziemi,
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące,
Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka,
Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi — a z temi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem;

Serce jak kryształ w setne poryło się skazy
I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie;
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie,
Lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga.
Ludzie w nim mieli druha,
w myślach świat miał wroga.
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny.
Ta budowa ciężkiemi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom, lecz, by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszać się, i myślami przybrać karłów postać.

Tak w rozstania godzinie młody anioł zginął...
Wzniósł twarz...
już nad nim młodej nie było dziewicy;
Długo dumał... bo księżyc pół nieba przepłynął
I patrzał drugą stroną dębowej ulicy,
Jak lampa w końcu ciemnej, klasztornej arkady.
Młodzieniec zadumany patrzał w księżyc blady,
Potem nagle uśpioną budząc się pamięcią,
Wydobył pismo, całą zamknięte pieczęcią,
I przy księżyca świetle czytał nieruchomy
Na nieznajomym liście podpis nieznajomy;
A w głębi listu smutne kryły się nowiny:
»Twój przyjaciel, wysłany w piramid krainy
Jako drogman poselstwa, zajechał po drodze
Do przyjaciół rodziców domu, trzy dni bawił;
Niewinnej wesołości długie puścił wodze
I przy lampie wieczornej powieści nam prawił.
Wczoraj miał dalej jechać... Widzieliśmy rankiem,
Jak po jesiennym liściu chodził smutny, cichy.
Potem konie pocztowe brzęknęły przed gankiem,
Potem wielkie, strzemienne podano kielichy...

Żegnał się — za łzy dawał wesołe uściski
I puharem o nasze puhary uderzył...
Odszedł. Wtem ucztujących strzał przeraził blizki:
Tłumem biegliśmy w jego komnatę... już nie żył.
Przez serce przeszła kula, a broń trzymał w dłoni.
Spoczywa na rozdrożu — wśród leśnej ustroni.
Ksiądz grób jego poświęcił, wierząc w zdanie tłumu,
Że samobójstwo było w młodzieńcu chorobą
Obłąkania, ciemnoty, szału, nierozumu.
Ten wypadek dom cały napełnił żałobą«.

Oto jest romans życia, niesklamany w niczem.
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie z odwróconem na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny...
powieść nieskończona...

DUMA O WACŁAWIE RZEWUSKIM.

Po morzach wędrował — był kiedyś Farysem,
Pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem,
Z modlitwą Araba był w gmachach Khaaba,
Odwiedzał Proroka grobowce.

Koń jego arabski był biały bez skazy.
Siedmiokroć na koniu przeleciał step Gazy
I stał przed kościołem i kornem bił czołem,
Jak czynią w Solimie wędrowce.

Miał drogę gwiazdami znaczoną po stepie
I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie;
Błądzący po świecie zaufał w sztylecie,
Bo sztylet mu dała dziewica.

Gdy nocą opuszczał haremu krużganki,
By odciąć drabinę wziął sztylet kochanki;
Choć broń była żeńska, lecz stal damasceńska,
Hartowna — i złota głowica.

A kiedy odjeżdżał — ta bladła i mdlała,
O sztylet prosiła, bo zabić się chciała.
»Żyj długo — bądź zdrowa, dziewico stepowa,
Twój sztylet położy mnie w grobie«.

»Bo kiedy już przeszłość ten step mi zakryje,
Gdy żyć będzie ciężko, to sam się zabiję,
Bo dziką mam duszę. Więc sztylet mieć muszę,
Twój sztylet mieć muszę przy sobie«.

Smutnego uniosły arabskie latawce,
Bo znikła z krużganku, bo widział w sadzawce
Pod oknem, w ogrodzie, fal koła na wodzie
I białą zasłonę... O Lachu!..

I nocą obaczył kraj miły, rodzony,
Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony.
W noc nawet i ślepy poznałby te stepy
Po kwiatów rodzinnych zapachu.

A niwa mu do stóp kłaniała się złota;
I marzył, że wierny druh wyjdzie przed wrota.
Lecz druhów nie było... Pod zimną mogiłą
Posnęli, gdy błądził w pustyni.

Więc jechał samotny, nieznany nikomu,
Lecz jeszcze z dziedzińca, od wrót swego domu
Odwrócić chciał konia i jechać na błonia,
Gdzie błądzą jak wiatr Beduini.

Lecz konia podkowy rozkute od krzemion
I koń był zmęczony... Więc skoczył ze strzemion
I wszedł do siedziby bez zamka, bez szyby,
Gdzie rosą próchniało obicie.

I miło mu było, gdy ujrzał te skały
Nad ciemnym Smotryczem, — gdzie orzeł żył biały
I wił sobie gniazdo; nadziei był gwiazdą,
Po nieba szybując błękicie.

Dla konia w ogrodzie budował altany
I żłoby pozłacał, — z kryształu dał ściany.
Przed Cara żołdakiem mógł uciec tym ptakiem
Daleko — i wolnym być zawsze.

I ludzi żałował, że żaden z nich nie miał
Szybkiego tak konia; więc każdy oniemiał
I był jakby głazem pod Cara rozkazem,
A były rozkazy co krwawsze.

Raz, starym zwyczajem pomarłych już rodzin,
Ten Emir arabski w dzień pańskich narodzin,

Na sianie, za stołem, z przyjaciół swych kołem
Połamał opłatek i spożył.

A potem, jak przodków święcono zwyczajem,
Wniósł toast nadziei stuletnim tokajem:
»Żyj Polsko wiek sławy!« Wtem goniec z Warszawy
Przyleciał, — zawołał: »Kraj ożył!«

Więc Emir w stepowe zapuszcza się szlaki,
A za nim na koniach buńczuczne kozaki,
W czerwieni i w bieli, po stepach płynęli,
Po smutnych kurhanach przeszłości.

I cały ten szereg, błyszczący od stali,
Zrównanym galopem jak morze się fali;
Gdzie słychać dział huki, tam lecą buńczuki,
Jak gwiazdy z ogonem jasności.

Emira Kozaki gdy błądzą przez wrzosy,
Umieją pieśń dziką rozłamać na głosy.
Pieśń z echem odsyła stepowa mogiła,
Pieśń grzmiącą: »Ho urra! nasz Emir!«

Do Cara pieśń doszła, — wściekłością się pienił
I głowę Emira na ruble ocenił,
Bo myślał, że w kraju, z hordami Nogaju
Czyngiskan szedł — Batt lub Kantemir;

Bo umiał Rzewuski, jak Arab stepowy,
Płachtami rumakom ogłuszyć podkowy
I cicho, gdy spali, pod obóz Moskali
Podkradać się, — bić — i brać działa.

Więc ściągnął, jak wszyscy ściągali pod Daszów,
Gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszów,
Z wesołym okrzykiem stanęła w mur szykiem
I chmurą proporców powiała.

A kiedy z mgły srebrnej wybiło się słońce,
Ujrzeli Moskalów — straż przednią i Dońce:
Mur dział jak mur złota, a za nim piechota
W bagnety porosła jak zboże.

I cicho... Wtem bomba śmierciami ciężarna,
Upadła w szeregi zwichrzona i czarna;
A nasi w tej chwili jeszcze się modlili,
Do nieba wołali: »O Boże!«

I razem bomb tysiąc zaryło się w stepy:
Rozpękłe wrącymi ciskały czerepy
I grzmiały, dopokąd piechoty czworokąt
Nasz Emir opasał konnicą.

I strasznie ją ściskał, w żelazne brał skręty;
Przedniemi nogami na bagnet koń wspięty,
Tak jak oczerety, połamał bagnety,
W złamanych miecz wiał błyskawicą.

Przemogliby nasi, choć bój był rozpaczny. —
Wtem wódz od armaty dał rozkaz dwuznaczny:
»Konnica na skrzydła!« Zwinęli wędzidła,
Odbiegli, ostygli w zapale —

I popłoch się wmięszał. Ów, co był przyczyną
Wszczętego popłochu, nie przeżył godziną.
Bojaźni nie dzielił, dwa działa wystrzelił
I sam się zastrzelił na dziale.

On może, wśród bólów ostatnich zgryzoty,
Pamiętał, że dzieci zostawił sieroty;
Lecz śmierć zwyciężyła, niech dziś więc mogiła
Ma łzy a nie skargi wygnańca.

A Emir, gdy ogień ucichał armatni,
Ujeżdżał z rozpaczą, choć zjeżdżał ostatni.

Któż męstwa zaprzecza, — gdy szczerby nić miecza
Powlekły, jak perły różańca?

A kiedy opuszczał kraj miły rodzony,
Znów księżyc się wznosił na stepach czerwony.
»Leć prędzej po błoniu, odpoczniesz mój koniu,
Gdy w ziemi staniemy tureckiej«.

»O koniu! mój koniu, gdzie twoje zalety?
Czyś może się rozkuł, deptając bagnety?
Czyś złaman w kul wiatrze? stój, koniu, opatrzę,
Czy niema gdzie kuli zdradzieckiej?«

»Ha zdrowy!... to dobrze, lecz jechać w noc trudno«.
Więc chatę na stepach upatrzył odludną;
Koń zimne gryzł kwiaty a Emir wśród chaty
Zmęczony zalegał na ziemi...

I zasnął głęboko, — bo trud go osłabił...
Śpiącego od Cara najęty chłop zabił
I sztylet dziewicy do złotej głowicy
W pierś nurzył rękami drżącemi.

O! czemuś, Emirze, nie oddał kindżała
Stepowej dziewicy, gdy zabić się chciała?
Dziś ona śpi w fali, lecz dar jej ze stali
Na wieki w twem sercu zostanie!

A w Moskwie z dział bito na górze pokłonnej
I miasto się trzęsło od pieśni studzwonnej:
Cieszył się Car ruski, że Emir Rzewuski
W stepowym śpi cicho kurhanie.

ŚPIEW NIEZNAJOMEGO.

Pijcie wino! pijcie wino!
Nie wierzycie, że to cud,
Gdy strumienie wina płyną,
Choć nie sadzi winnic lud.

Pij drużyno! pij drużyno!
Chrystus wodę zmienił w wino,
Gdy weselny słyszał śpiew,
Gdy wesele było w Kanie...

A gdy przyszło zmartwychwstanie,
Chrystus wino zmienił w krew...
Jutro błyśnie jutrznia wiary,
Pijcie wino! idźcie spać!
My weźmiemy win puhary,
By je w szklany sztylet zlać.
Niech ten sztylet silne ramię
W piersi wbije i załamie...

Pijcie wino! idźcie śnić!
Lecz gdy będzie świt promienić,
Trzeba wino w krew przemienić,
Przemienione wino pić!...

[Z »KORDYANA«].

W ALBUMIE MARYI WODZIŃSKIEJ.

Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony;
Gdzie w cieniu sosen, bożym strzeżone napisem,
Stoją białe szalety, wiązane cyprysem;
Gdzie w łąkach smutnie biją
trzód zbłąkanych dzwony;
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali;
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony:
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali.

A po latach, wróconym Ojczyźnie pielgrzymom
Bławatkami gwiaździste kłaniały się żyta.
Jechali, błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,
Wszyscy pod jeden ganek... Matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół — są wszyscy! są wszyscy!
Przy jednym siedzą stole, przy czarach nalanych;
A wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak blizcy!
I nikogo nie braknie, oprócz zapomnianych.

Młoda Marya do tańca każe stroić lutnie,
I usiadła — spoczywa... Nagle do sąsiada
Rzekła: »Ach, kogoś braknie!« —
Tu podkówka utnie
W takt mazurka. —
»On umarł«, — sąsiad odpowiada.
»Cichoż na jego grobie?« — »Słowików gromada
Śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze«.

ROZŁĄCZENIE.

Rozłączeni — lecz jedno o drugiem pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom — i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić świtem:
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem, —

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę
W dzień zasłoną gór jasnych,
w nocy skał szafirem;
Nie wiesz,
jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu określone kirem;

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze:

Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blado —
lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Nad jeziorem Leman, dnia 20 lipca 1835 r.

STOKRÓTKI.

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić,
Miło przy ludziach było raz powiedzieć,
Że się kochamy i mówić po stokroć.

Miło zabłądzić pod lipowe cienie
Z kwiatkami w ręku — i patrząc ukradkiem,
Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz!... I pani kochasz mnie szalenie...

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągłe zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki:
Jeden mówił: nie — a drugi: troszeczka.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach, — wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.

Rwałem ją... listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdziem siedział;
I wiesz, co listek ostatni powiedział ? —
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie.

Veytoux, d. 21 lipca 1835 r. rano.

OSTATNIE WSPOMNIENIE.

DO LAURY.

Dawniej bez serca — dziś bez rozumu,
O biedna Lauro! — nim zginę,
Dla ciebie z głuchych pamiątek tłumu
Wianek Ofelii uwinę.
Ty go drżącemi weźmiesz rękoma;
Jak wąż ci czoło okręci...
Oto bławatki, ruta i słoma,
A to są kwiaty pamięci.

Burza żywota nad nami mija,
Przeminie, — lecz głowę zegnie:
Śmiech nie pociesza, — ból nie zabija,
Wkrótce i rozum odbiegnie.
Cicha spokojność nigdy nie wróci,
Zniszczenia wicher nie wionie,
Słońce nie cieszy, księżyc nie smuci,
A w nicość śmierć nie pochłonie...

Strętwiałość! — za cóż ten zimny kamień
Na serca nasze się wali?
Żeśmy się niegdyś w kraju omamień
Na jednej drodze spotkali?
Że cię tak długo dźwiękami lutni
Budziłem i do snu kładłem,
A ty smutniejsza niż ludzie smutni
Za innem biegłaś widziadłem —

I coraz wyżej w niebo lecąca,
Niknęłaś w marzeń lazurze,
I roztopiona w blasku miesiąca
Zwiędłą rzuciłaś mi różę?

I nie wiem nawet, czy z twego czoła,
Czy twoją skropiona łezką,
Czy mi jakiego ręka anioła
Rzuciła różę niebieską?

Ciemność twej duszy, jak dżumy plama,
Od ciała przeszła do ciała.
Widzisz jad w sercu? — to łza ta sama,
Którąś ty w serce nalała.
Widzisz, jak zagasł dziecka rumieniec,
Gdzieś ty oddechem przebiegła?...
Nie laur na głowie — lecz z ognia wieniec
Tyś skrami oczu zażegła.

Dziś, gdy mi włosy burza roztarga,
Ogniami czoło mam sine,
A jakąś dumą drży moja warga,
Że w tych płomieniach nie ginę...
Lecz gdy do szczęścia świat mię zawoła,
Nie biegnąc za szczęsnych śladem,
Przeklinam ciebie bladością czoła,
Serca przeklinam cię jadem.

Więc niech mię prędko chmury czarnemi
Porywa wicher nicości,
Bo już przekląłem wszystko na ziemi,
Wszystko — w aniele przeszłości.
Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka
I falą powraca ciemną,
Nic mię nie żegna, nic mię nie czeka,
Nic za mną! i nic przede mną!

Gdy bracia moi, gdy wędrownicy
Lecieli z szumem po niebie,
Ja nieruchomy, gwiazdą źrenicy
Patrzyłem w przeszłość, — na ciebie.

Dziewice ziemi nieraz spostrzegły
Łzawemi oczu błękity,
Że oczy moje za tobą biegły,
Żem był na sercu zabity.

Okruszynami serca, miłości
Karmiłem blade widziadła...
Ale łza taka, jak łza przeszłości,
Na żadne serce nie spadła.
Jak moje oczy topią się, — mdleją,
Jak myśli rzucają ze dna,
Jak iskry sypią, jak łzami leją,
Ty wiesz! — lecz tylko ty jedna.

A teraz, smutny przeszłości echem,
O ludzie, idę za wami,
Choć śmiech wasz dla mnie szalonych śmiechem,
Łzy wasze — szalonych łzami.
Lecz gdy się znudzę łez zimnych rosą
I zimnych uściskiem prawic,
Duszę mi od was wichry uniosą,
Lecz wichry pełne błyskawic.

RZYM.

Nagle mię trącił płacz na pustem błoniu:
»Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem«.
Tak śpiewał pasterz trzód, siedząc na koniu.

Przede mną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad nimi kościół ten, co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr i pędził dalej,
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal, a ja zostałem
W pustyni sam — z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, — gdy mię spytało w pustyni
Słońce, szydzący bóg, — czy Rzym widziałem?...

SUMIENIE.

Przekląłem — i na wieki rzuciłem ją samą
I wzburzony, nim księżyc zabłysnął wieczorem,
Jużem się od niej długiem rozdzielił jeziorem;
A gdy się toń jeziora księżycową plamą
Osrebrzała, gdy wichry zawiewały chłodniej,
Jam jeszcze leciał, — jeszcze uciekałem od niej.

I możebym zapomniał, — bo koń leciał skoro,
Bo mi targały myśli tętniące kopyta.
Gdzie ona? — oszukana — przeklęta — zabita...
Patrzę na niebo, księżyc, na gwiazdy, jezioro...
Wszak jęk tu nie doleci, wszak łez nie zobaczę?
To jezioro — to fala — to nie ona płacze.

I możebym zapomniał... lecz gdy to spostrzegła
Blada światłość księżyca,
krok w krok za mną biegła.
Próżno się zatokami wężowemi kręcę,
Wszędy mnie księżycowa kolumna dopadła,
Jakby się ta kobieta do stóp moich kładła,
I, niema płaczem, za mną wyciągała ręce.

* * *

Miałem lutnię, co siedem strun miała i widła,
Na nich był patyk złoty, gdzie łabędziowi
Duszy mojej spoczynek był — lecz mi obrzydła;

Bowiem nie mogła wydrzeć nic grobowi, —
Nawet pamiątek tych, co nieśmiertelne
Powinny być — a są podobne snowi.

A więc zerwałem naprzód dwie weselne
Struny na lutni tej, i nigdy więcej
Już nie obudzę ich, — bo są bezczelne.

Zerwałem drugie dwie, co sto tysięcy
Wyrazów słodkich, miłych, miłosnych umiały
I uśpić smutne serce umiały najprędzej.

Zerwałem trzecie dwie, jak echo skały
Powtarzające wszystko, co słyszą dokoła,
Albowiem wszystko płacz, co usłyszały.

Została jedna ta, co teraz woła:
O, wy! co w prochu myśli mażecie i serca,
Z tych serc otrzyjcie rdzę — podnieście czoła!

[Z «UŁAMKÓW«].

HYMN

Smutno mi Boże! — Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przede mną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą...
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu...
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu;
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski...
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Widziałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem:
Żem je znał kiedyś na Polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem prawie nie znał rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blasku gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę:
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nie oddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił popiołom...
Więc, że mieć będę niespokojne łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie co dzień... a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie...
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący — marli.
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

[Pisałem o zachodzie słońca, na morzu przed Aleksandryą].

* * *

Chrystus nas woła: wy, którzyście smutni,
Chodźcie na łono Ojca.... Patrz w błękity:
Oto gwiazd siedem — wszystkie w kształcie lutni —
Wychodzą z fali tam, gdzie zorzy świty
Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina!
Na tobie dzwoni północna godzina,

Godzina cicha, tajemnicza, senna —
Na wielkiem morzu falą wahanemu. —
Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna —
Dowiąż gwiazd dziesięć ogniowi złotemu
Okiem i myślą, a z niebios wyleci
Koń, który parska gwiazdami i świeci.

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,
Już go nie straci i myślą nie zmaże:
Na strunach lutni położył kopyta;
W nozdrzach, jak w rumu zapalonej czarze,
Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,
Czasem, jak w nozdrzach arabskiego, krwawy.

Za temi gwiazdy wychodzi Dyanna,
Z gwiazd najświetniejsza, — a najmilsza oku,
Gdy ją obleje światłem zorza ranna,
Kiedy w różanym topniejąc obłoku,
Z błękitnej razem staje się zielona
Jak listek, potem czerwieniąc się kona;

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorzą pobladła,
Zapowiadając prędkie cieniom końce:
Błyśnie ci w oczy jak kawał zwierciadła,
Z którego dziecko rzuci tobie słońce;
A gdy na smutnym takie blaski roni,
Przywykasz razem do smutku i do niej.

[Z »PODRÓŻY DO ZIEMI ŚWIĘTEJ«].

*
* *

Z jakiejże gliny byli ulepieni
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,
Padali czołem na czoło kamieni,
Całując ziemię chwastami nieczystą,
Zimną.... co nieraz nim usta oddarli,
Na głazach ziemi całowanej marli!...

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć — lub to wszystko, co mi losy rzucą
Na kamienistej drodze życia — płuce
Ogniem pożarte, — widziane oczyma
Sny straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma!

Wszystko mię wstrzyma w obcej ziemi łonie
Umarłym, — może jednę chwilę wcześniej
Niż zmartwychwstanie twoje, o Syonie,
Jerozolimo, trapiona boleśniej,
Niż grób Chrystusa!.. A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą — spać będę!

[Z »PODRÓŻY DO ZIEMI ŚWIĘTEJ«].

PIEŚŃ NA NILU.

Nie szumi liść, nie szumi gaj,
Jakie niebo, jaki kraj!
Z cegieł stoją wielkie góry,
A na cegłach leżą chmury.

I jam cierpiał i jam żył,
Jam w letejskich wodach pił;
Dziś w Nilowe fale mętne
Patrzą oczy moje smętne.

Patrzę smutny, patrzę w dół:
Czy kto moje serce struł,
Że śpi teraz jak łabędzie,
Że mu wszystko jedno wszędzie?...

Łódko, łódko, dalej nieś!
Tu na brzegu stoi wieś,
Tu gołębi jakby śniegu,
Chmura ptaków, wieś na brzegu.

Dalej, łódko, od tych kras!
Tu palmowy stoi las
I gliniana chata w głębi
Z wiankiem ciernia i gołębi.

ARAB.

O! nie zazdrość szczęścia im!
Patrz, nie idzie z chaty dym.
Nieszczęśliwy los lepianek,
Choć z gołębi mają wianek.

Może tam zarazy strup,
Może w chacie leży trup,

Dzieci płaczą przy tapczanie —
Trup nie słyszy i nie wstanie.

Trupa trzeba ziemi dać...
I gołębie będą spać,
Gdy wychodzi trup nędzarza,
Gdy powróci syn z cmentarza.

POETA.

Jeśli tak, to łódko tam
Te błękitne fale łam.
Do tej chaty nieś mię łodzi!
Wejdę tam, skąd trup wychodzi.

Tam nieś, łódko... tam mi żyć,
Będę jęczeć, będę wyć,
Serce kąsać nadaremno,
A gołębie spać nade mną.

ARAB.

Co zamyślasz? czy ty śnisz?
Gdy uczują ptaki krzyż,
Świty białe, wschodu róże,
Rozlecą się po lazurze.

Allach! wicher będzie wiał —
I przyniesie czworo skał,
I położy grób na grobie
Na gołębiach i na tobie.

POETA.

Jeśli tak, ha! jeśli tak,
Niechaj śpi i wichr i ptak!

Ja nie spocznę w głębi chaty,
Lecz polecę jak skrzydlaty.

Jak od młodych moich lat,
Ja polecę lotem w świat...
Dalej, łodzi!

ARAB.

Nocleg tobie
W Ramazesa starym grobie.

POETA.

Tam przynajmniej jednę noc
Odzyskam sen, odzyskam moc,
I spać będę z cichą twarzą
Pod gołębi sennych strażą.

Czy daleko stąd ten grób,
Gdzie ja będę spał jak trup
Umęczony?

ARAB.

Niedaleko!
Za tą palmą, tam nad rzeką,
Lecz go teraz kryje mgła...

Mówił tak, a łódka szła.

ROZMOWA Z PIRAMIDAMI.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, sarkofagi,
Aby miecz położyć nagi, —
Naszą zemstę w tym bułacie
Pogrześć i nabalsamować,
I na późne czasy schować?
— Wejdź z tym mieczem w nasze bramy!
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, grobowniki,
Aby nasze męczenniki
W balsamowej złożyć szacie
Tak, by każdy na dzień chwały
Wrócił w kraj, choć trupem cały?
— Daj tu ludzi tych bez plamy!
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny i łzawice,
By łzy nasze i tęsknice
Po ojczystych pól utracie
Zlać tam razem i ostatek
Czary dolać łzami matek?
— Wejdź tu, pochyl blade lice!
Mamy na te łzy łzawice.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny zbawicielki,
Aby naród cały, wielki,
Tak na krzyżu, w majestacie
Wnieść, położyć, uśpić cały
I przechować na dzień chwały?
— Złóż tu naród, nieś balsamy!
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy została
Jeszcze jaka trumna głucha,
Gdziebym złożył mego ducha,
Ażby Polska zmartwychwstała?
— Cierp i pracuj i bądź dzielny!
Bo twój naród nieśmiertelny;
My umarłych tylko znamy
A dla ducha trumn nie mamy.

GRÓB AGAMEMNONA.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtoruje myśli posępnej i ciemnej —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O, jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słychać!
Druidyczna to, z głazów wielkich grota,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos — ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo,
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną,
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowem pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. — Strasznym jest Rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem — wielką pieśnią ciszy.

O, cichy jestem — jak wy, o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą —
Ani mię teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą;
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy! —

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnymi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten, co się wdziera,
Blask, była struna to z harfy Homera —

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułowić i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów — i milczącą
Garstką popiołów! — ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój, na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój, senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych — i tak pełny wstrętu —
Na koń! chcę słońca i wichru tententu!

Na koń! — Tu łożem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy,
Ze łzą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mnie wicher gnał błyskawicowy,
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie,
Jeśli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi,

Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla małowiernych serc — podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest — naszej....

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów,
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju — gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół-rycerzy — żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd — w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem —
Nie — pierwej skonam, niż tam iść
— z łańcuchem!

Na Termopilach jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: — »Wielu was było?« —
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

Na Termopilach bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza:
I długo płakał lud takiej ofiary
Ognia wonnego i rozbitej czary.

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym:

Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym,
Póty mieć będziesz hyjenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę Dejaniry palącą koszulę,
A wstań, jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w styxowym wykąpana mule!
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród — i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą —
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu — gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
Mówię, bom smutny — i sam pełen winy!

Przeklnij! — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida, przez wężowe rózgi,
Boś ty jedyny syn Prometeusza —
Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.
Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiedz, że ręka przekleństw, wyciągnięta

Nade mną — zwinie się w łęk jak gadzina,
I z ramion ci się odkruszy — zeschnięta!
I w proch ją czarne szatany rozchwycą:
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!! —

DO ANIELI MOSZCZEŃSKIEJ.

I.

O, tak! zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je łzami zapruszyć!
O, tak! zaprawdę, że chcąc serce skruszyć,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go łzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga;
A wprzód, niż miałaby je zdeptać noga, —
Prędzej je zimnem żelazem rozetnę.

I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewej strony;
Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,
Którzy na bieli mają krzyż czerwony:
A nad niem jeszcze jest pancerz stalony,
A ono jeszcze głębiej — w trumnie leży.

Październik. 1838. Florencya.

DO TEJŻE.

II.

Ogniem, żałością wre zamknięte łono, —
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak zhańbioną

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystem!
A ty myślałaś, że ja z tem ognistem
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?

O, pierwej piekło! niżby czoło dumne
Na twojem zimnem sercu kiedy spało!
A niż całować twe usta rozumne
I twoje białe, marmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą,
Jaką ty jesteś, zimna! — lepiej w trumnę!

*
* *

To więc jest Polak — dobra jego sprawa,
Krwawe zaczęcie i osnowa krwawa;
Lecz kiedy przyjdzie dobić aż do końca,
To wstydzić się mu księżyca i słońca.
Ej! ale ziarno się nie darmo sieje,
To i tam w końcu coś widać — nadzieję....
Smutna to lampa i nocnego ptaka,
Lecz i ta dobra nad grobem Polaka.
To więc chodź ze mną aż na trupów górę,
Klęknij, wznieś oczy w tę gwiazdę, w tę chmurę:
Bóg za nią — klękaj! niech się twarz nie bieli!
A cóż, że z gwiazdy piorun krwi wystrzeli?
Klękaj! — To niech się wola Boska stanie!
Lecz my przysiężmy, że kraj zmartwychwstanie,
A przysiężemy — to zmartwychwstać musi.
A cóż, że powróz proroka udusi?
Że może ściętej głowie nie pozwolą
Spocząć na sercu, zabitem niedolą?
A cóż, że wnuki łzą kwiaty pokropią,
Kiedy niepełny grób starców odkopią
I znajdą tylko tam bez czaszki ciała?
To co? — powiedzą — głowa zmartwychwstała
I aniołowie, strażnicy tej bryły,
Wylatującą widzieli z mogiły;
Gdy piorunami się noc smętna zmierzchła,
Wylatywała jak gołąb i pierzchła.
A gdy z aniołem, co smętnych prowadzi,
Wygnańce nasi będą wracać bladzi
I rozpoznawać podobieństwo głazów
Z pomiędzy białych narcyzów i ślazów:
Niech wtenczas smutne oczy napotyka
Kwietny grobowiec starca męczennika.
O! Polsko! Polsko! Święta! Bogobojna!
Jeżeli kiedy jasna i spokojna

Obrócisz swoje rozwidnione oczy
Na groby nasze, gdzie nas robak toczy;
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać jak łabędzie senne:
Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy — wspomnij, ty o nas! o wspomnij!
Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska
Pacierz, co płacze, i piorun, co błyska.
A dosyć, że się zastanowisz chwilę,
Jaka tam cisza na naszej mogile,
Jak się wydaje przez Boga przeklęta;
A nie zapomnisz ty o nas, o Święta!

[Z »POEMA PIASTA DANTYSZKA O PIEKLE«].

DO Z. KRASIŃSKIEGO.

Żegnaj, o żegnaj, archaniele wiary!
Coś przyszedł robić z sercem mojem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
Ogrzał, oświetlił, by nie poszło w trumnę
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne...

Więc gdzieś wysoko, u boskiego celu
Chwała dla Ciebie, o serc wskrzesicielu!
A dla mnie pokój: dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba — spokojności...
Lecz jeśli ducha nadchodzą szyderce,
Lecz jeśli walka jest — dałeś mi serce!

Florencya 4 grudnia 1838 r.

CHÓR DWUNASTU HARFIARZY.

O, święta Ziemio Polska! arko ludu!
Jak zajrzeć tylko myślą, krew się łała!
W przeszłości słychać dźwięk tej harfy cudu,
Co wężom dała łzy i serce dała.
Słuchajcież wy! gdy ognie zaczną buchać,
Jeżeli harfy jęk przyleci zdala, —
Będziecież wy jak węże stać i słuchać?
Będziecież wy jak morska czekać fala,
Aż ścichnie pieśń i krew oziębnie znowu
I znów się staną z was pełznące węże,
Aż rzucą was do mogilnego rowu,
Gdzie z zimnych jak wy serc hańba się lęże?
Już czas wam wstać!
Już czas wam wstać i bić i truć oręże!

[Z »LILI WENEDY«].

NA SPROWADZENIE PROCHÓW NAPOLEONA.

I wydarto go z ziemi — popiołem!
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał ze sławy aniołem,
Gdzie sam leżał, nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódzco korabli? —
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,
Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Powiedz — czy trup zadrżał, czy się wzdrygnął?

On przeczuwał, że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy:
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy,
I łańcuchy zeń zdejmie zabójcze
I na ojca proch zawoła: — Ojcze!

Ale przyszli go z grobu wyciągać:
Obce twarze zajrzały do lochu —
I zaczęli prochowi urągać
I zaczęli nań wołać: — Wstań prochu!
Potem wzięli tę trochę zgnilizny
I spytali — czy chce do ojczyzny? —

Szumcie! szumcie więc morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie na góry

I patrzajcie nań wieków oczyma:
Tam! — na morzach! — mew gromadka szara
To jest flota z popiołmi Cezara.

Z tronów patrzą szatany przestępne,
Car wygląda blady z poza lodów;
Orły siedzą na trumnie posępne
I ze skrzydeł krew trzęsą narodów,
Orły, niegdyś zdobywcze i dumne,
Już nie patrzą na słońce — lecz w trumnę.

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
Gdy usłyszysz trąby wśród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pacierzy — lamentu...
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
I zwyciężysz — zwycięstwem Golgoty.

Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą, —
Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z tak ogromną bezśmiertnych powagą
I mocą... i z tak dumnem obliczem,
Jak dziś, Wielki! gdy wracasz tu niczem.

1. czerwca 1840.

W ALBUMIE E. HR. KRASIŃSKIEJ.

Chciałbym, ażeby tu wpisane słowo,
Jeśli na wieki ma słowem pozostać, —
Aby słów miało nieśmiertelnych postać,
Albo posągów piękność marmurową,
Lub jak Walhirje, co noszą nad głową
Wieniec z piorunów i we krwi szeleszczą:
Chciałbym, ażeby miało taką wieszczą
Groźbę i skrzydła i twarz piorunową.

Lecz słowo martwe. Ale wy jesteście
Jako Walhirje z północy przybyłe:
Pod wasze stopy rzucamy niewieście
Grobowce wszystkie — a wy na mogiłę
Wstąpcie, a kto wart życia, tego wskrzeście.

Paryż d. 29 czerwca 1841 r.

* * *

Sam znałem jedną — lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniej —
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni —
Niż gdybym w Boga się patrzał najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga:
Ona umarła już. — Jest częścią Boga,

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego. — O, dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą;
Różom najbielszym jej żałobę nosić!
Ją słońca drogi mlecznej nie omylą,
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić,
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca
Ze słońc na wielkie słońca, i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszczę za nią skrzydła chyże: —
A tu mi ręce zawiążcie na głowie
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym, w Alpejskim upadłszy parowie,
Spoczywał. — Miałem ja troski i krzyże —
Więcej niż śniło się wam filozofom — —
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

[»BENIOWSKI«, Pieśń druga, strofy VI—VIII].

*
* *

— O, tęczowa
Kopuło myśli, tyś moim kościołem! —
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem;
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa,
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszej kaplicy stojąca:
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i zruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz jak niebo nad Aniołem duszy:
Próżno się broni w błyskawicach głowa, —
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź pod skrzydły białemi: —
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedya powagi
I ciszy greckiej; reszta wiatru wyciem:
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
Marzenia stają się czynem i życiem,
Czyny się stają piorunem odwagi —
Rozbiły kościół! — Pod jego rozbiciem
I serce pękło i burza przewyła...
Z wszystkiego patrzcie co? — krzyż i mogiła.

[»BENIOWSKI«, Pieśń druga, strofy LXI—LXIII].

* * *

Roję,
Śnię, tworzę; harfy używam lub bicza:
I to jest moja poetyczna droga —
Lecz z mego życia poemat — dla Boga.

On wie, On wiedział, nad jakiemi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących — te chóry
On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.
Nie zawiodły Go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć:
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać; —

On i pustyni gwiazdy lazurowe
I zachodzące nad morzami słońce
I jedno serce ludzkie. — Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni — te cierpiące:
Milcz serce! Albo się strzaskaj echowe
Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
I obłąkane, nie zaspokojone —
Uderzam ciebie w złości — Milcz szalone!

[»BENIOWSKI«, Pieśń trzecia, strofy XLIII—XLVI].

* * *

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! — Ha.... to mię przestrasza.
Kościuszko przeczuł was, krzycząc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka — śmiech mię zbiera.

Co będzie z wami — prosto wam nie powiem,
Nie jestem jako wieszcz wszystko wiedzący.
Krwią do was piłem, moim duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puhar lśniący:
Słyszycie? Pękło. — Teraz mi wezgłowiem
Jedno kobiece serce; jestem śpiący,
Omdlały jestem, ogniem owionięty,
Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedya gra! — Może mi przyjdzie
Grać inną: wtenczas was wszystkich przerażę.
Ległem jak czarny Sfinx przy piramidzie;
Z grobów ojczystych patrzą blade twarze —
Może wieszcz, zechcę jeszcze w jasnowidzie
Rzec co ciemnego? Może wam pokażę
Pełne piorunów usta, piersi, trzewa? —
Może zamilknę jak lew, co poziewa,

Patrząc na małość zielonego węża,
I zasnę — zasnę — ha! lecz przebudzenie? —
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!
Z mózgu mojego mieliście jedzenie,
Lecz serce moje się jak łuk wypręża,
Zrzuca was głodne sępów pokolenie:
Ugolin odbił piekło.... Ognia fale! —
Wyrwijcie resztę sępom! — Precz szakale! —

Kto inny teraz teraz jest nade mną, nie wy,
Na których patrzał ja, Akteon blady:
Między ciemnemi położył się drzewy,
Słowiki będą moimi sąsiady,
Księżyc — jako mój srebrny Anioł lewy,
Ona — jak złoty mój duch dobrej rady,
Odgoni czarne Cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak — jak Anioł gada.

Przez litość tylko nade mną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy;
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy:
Będę zbawiony! dumny, bezpokutny...
Ale to wszystko sen — i może smutny!

[»BENIOWSKI«, Pieśń trzecia, strofy LXVIII—LXXIII].

* * *

Biada, kto daje Ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy,
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
Żadną łzą taki Boga nie poruszy,
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Któreby kiedyś jego Bóg rozumiał, —
I będzie jak ten dąb umarły szumiał.

Będzie miał w sercu władzę odpychania
Ludzi — a węże się doń zbiegać będą.
Utyje kiedyś na chlebie wygnania,
I nieszczęśliwe dzieci go obsiędą,
Krzycząc: Ojczyznę nam daj lub do spania
Grobowiec sławny! — ale nie posiędą
Grobu ni sławy. — I to jest przekleństwo,
Które ja rzucam na nich! — ich rodzeństwo!

[»BENIOWSKI«, Pieśń trzecia, strofy XCI—XCII].

* * *

Ojczyzna
Minęła także! i ów wierszyk złoty,
Że dla niej każda smakuje trucizna, —
Ów wiersz, co niegdyś zachęcał do cnoty:
Jest dzisiaj... Każdy mi to pewnie przyzna,
Kto w oblężeniu jadł szczury lub koty —
Że ten wiersz bez psów, liszek i bez czajek
Jest dziś najlepszą z Krasickiego bajek...

A więc niech wszystko mija! — Wstańcie burze
I zwiejcie mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli jak łez pełne kruże
Przechylcie: niech je próżnemi uczyni
Czas! — Wszak stawałem na niejednej górze
Bliżej piorunów, niż gadu, co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka;
Bliżej chmur, co grzmią — niż ludu co szczeka! —

I dziś od ogniów Boskich w dół zepchnięty
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię, lecz jeszcze gardzę. I ten ścięty
Rym, nieraz kąsa was aż do jelitów —
I płynie jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie,
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiędzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru
Myśli zhukanych jest harmonia dzika,
Którą ja lubię, że tak pełna gwaru,
Że czasem jak wąż pośród ruin syka,
Czasem podobna do Aniołów swaru,
Gdy błyskawicą letnią się odmyka
Niebo — i znów się zasuną płomienie
Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie...

A jednak gdyby twoja, o, młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;
Gdybym nad sobą miał więcej litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest, i co w przyszłości
Być może: lutnię szalonego Barda
Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano —
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno! późno już! Gdzie są słuchacze?
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? — Nie wiem — i nie raczę
Gonić myślami te smętne, stracone
Mary. — Lecz nieraz, kiedy mi zakracze
Orzeł, lecący na słońce czerwone;
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje ode mnie — ostatnia!

Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne,
Rozokolone na niebie szeroko,
Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
Nawet gdy w ciało się straszne obloką
I w pioruny się rzucają namiętne,
Lub nad Safony chwieją się opoką:
Lubiłem takie dusze — nie bezkarny!
Wybrednie marząc w różach kolor czarny.

[»BENIOWSKI«, Pieśń czwarta, strofy VIII—XIV].

DO E...

Napiszę prosto, ponieważ słów chciałaś,
Że kto na walkę samotną, rozpaczną
Patrzy tak zimno — tak jak ty patrzałaś, —
I nieraz rękę podnosi niebaczną
Zbroi, mieczami pobitej na ćwierci:
Gdy śmierć wyniknie — będzie winien śmierci.

Gdy powiedziano, że mię morskie fale
Porwały zimnych ramieniem obręczy,
Ty urągałaś się samotnej chwale,
Co w morzu gasła nakształt młodej tęczy,
Ani myślałaś, że pieśni pogrzebne
Będą mi śpiewać Amfitryty srebrne.

Więc Nimfo! żadnem niewzruszona echem,
Nawet tem, które śmierć o ludziach gwarzy,
Dziś pozdrowiona bądź bladym uśmiechem,
Uśmiechem nigdy niewidzianej twarzy, —
Weź to za uśmiech spokojny człowieka:
Co w nim jest smutku — nie dojrzysz zdaleka.

Paryż 11 lutego 1841 r.

* * *

Łódź życia jest jak złota łódź Sorrentu,
Co siekąc kryształ przeźroczysty, szklanny,
Ogień dobywa błękitny z odmętu,
I z wioseł ogień leje nieustanny,
I tak jak łabędź ognisty przelata,
Pierś mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świecie.
Niech szumi wino w twej Platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie,
A blizko ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie Saturnowy wąż się z ogniów plecie:
Tam ślubuj przyszłość... Muza mdleć zaczyna —
Dajcie mi bursztyn i róże i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,
Niech o młodości pomarzę pół senny:
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruje mi znów szumiąc liść jesienny.
Napróżno serce truciznami poim!...
Kochanko pierwszych dni! — znów jestem twoim.

Patrzaj! powracam bez serca i sławy
Jak obłąkany ptak i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy,
I ma na piersiach rubinowe pierze!
Jam czysty! — głos mój śród wichru i wrzawy
Słyszałaś... w równej zawsze strojny mierze...
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć — abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;

Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina,
I w pieśń się patrzaj tę — co jest z opalów,
A więcej kocha ludzi niż przeklina;
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
Ja — co przebiegłszy świat — kochałem jedną.

Twój czar nade mną trwa. — O! ileż razy
Na skałach i nad morzami bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem nakształt słońca
W pamięci mojej! — Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — a łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła:
Twa dusza znała to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne:
Jedna z marmuru a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kryśląc,
Staliśmy jak dwa sny, oboje — myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory,
My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory,
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory;
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć — znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o, miła!
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła,
I boleść wyszła z niej jak nawałnica:

W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różyca
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje
W te — gdzieśmy niegdyś chodzili — aleje.

Bądź zdrowa — odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mnie duchy w inną stronę;
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie Anioł jakiś skrami pisze
Wyrok, łamiący mnie między stracone...
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne...
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne!

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy:
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz, do zbielałej róży
Podobna, zasnąć. — Dosyć! Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły — czara wychylona
I pieśń gdzieś leci ode mnie echowa...
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

[»BENIOWSKI«, Pieśń czwarta, strofy LVIII—LXVIII].

* * *

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak Aniołów mowa...
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem:
Strofa być wina taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć — zamglić ją tęsknotą;
Potem z niej łyskać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą,
Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze, przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa...

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: on toby zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski
Mową, którą sam przed wiekami umiał.
Potemby, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy Polskiej — w grobie.

Więc nie mieszajcie mi się tu harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! — precz mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze,
Dając im ciągłą łzę, lub ciągłe tętna!
Wolałbym słuchać morza na wiszarze
Jakiej opoki, co wieków pamiętna,
W szumie, jakoby w nieskończonym rymie,
Odrzuca falom jedno — wielkie imie...

[»BENIOWSKI«, Pieśń piąta, strofy XVIII—XXI].

* * *

Boże! kto ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny,
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma...

Kto cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
Na wielkim stepie przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym,
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze,
Mogiły głosem wołają straszliwym,
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie i ginie —

Kto ciebie nie czuł w natury przestrachu
Na wielkim stepie albo na Golgocie,
Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie; —
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś, ani rwąc stokrocie,
Znalazł w stokrociach i niezapominkach:
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach, —

Znajdzie — ja sądzę, że znajdzie — i życzę
Ludziom małego serca kornej wiary,
Spokojnej śmierci. — Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu — szkielety;

Widzę: że nie jest On tylko robaków
Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kiełza...
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza
Próżno stracona przed kościoła progiem:
Przed Nim upadam na twarz — On jest Bogiem!

[»BENIOWSKI«, Pieśń piąta, strofy LVI—LX].

* * *

Pamiętam jedną godzinę żywota:
Leżałem w greckiej łodzi... spało morze —
A każdy żagiel był jak maska złota,
W której się chował w albańskim ubiorze
Majtek. Słuchałem, jak fala klekota,
Kiedy ją złota pierś kaiku porze. —
Księżyc się cicho błyszczał, złoty taki
Jak słońce. Łódź płynęła z Kalamaki.

I zwolna wschód się oczerwienił siny,
Ponad Pireą powiał wiater świeży.
Łódź się wśród morskiej wzdrygnęła równiny,
Jak rycerz, gdy go w piersi wróg uderzy.
Była to pierwsza fala Salaminy:
Szła od mogiły, gdzie Temistokl leży —
Zatrząsła łodzią, wkoło ją obeszła,
Zagrzmiała, jękła żałośnie i przeszła.

Wstałem — tańczyły fal różane bryły —
Świtem się niebios okwieciła droga. —
Słońce! — myślałem, że wstaniesz z mogiły
Temistoklesa, jak z mogiły Boga
Zmartwychwstający anioł blasku, siły...
Lecz nie — gdzie złoty tron był jego wroga,
Skąd Xerxes patrzał na zniszczenia dzieło,
Wyszło ogromne słońce i stanęło...

Wtenczas zacząłem urągać się w duchu
Grobowi, co był rzucony w ciemnoty,
I morzu, które chodziło w łańcuchu, —
I obróciłem się, gdzie stał tron złoty,
Paląc się w słońca czerwonym wybuchu: —
Bo tak stać musiał, gdy ginęły floty
I za kraj marli rozpaczni obrońce,
Xerxes, na tronie tym ubrany w słońce!...

[Z fragmentów »BENIOWSKIEGO«].

* * *

Dawna Ojczyzno moja! o, jak trudno
Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy
Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną
Wabił na dawnych opłotki cmentarzy!
Inni już pieją twoją przyszłość cudną;
Ja zostawiony gdzieś na mogił straży,
Jak żóraw, abym nie spał śród omamień,
Trzymam me serce w ręku... serce kamień, —

Biedne uwiędłe serce! — Inni mogą
Płomieniem twojej przyszłości oddychać;
Ja, twoje biedne dziecko, stoję z trwogą,
Bo mi płacz twoich dawnych mogił słychać.
Proszę cię w moją duszę, jak w ubogą
Chatę, co już się zaczęła rozsychać,
Rozpadać, tylu wichry rozerwana,
Biedna, tak dawno stojąca, gliniana.

Dawniej... o! dawniej mogłem ja cię darzyć
Różami, listki maczanymi w złocie.
Teraz ja muszę chować się i marzyć,
I w coraz większej schroniony prostocie,
Podług natury sądnej szale ważyć
I dbać o ciebie — gdy jesteś w polocie
Ku siedmiu gwiazdom strzałą wyprawiona,
Choć masz na krzyżu ciało i ramiona.

Najbielsza moja! najsmutniejsza! — w tobie
Śpiewają jakieś pieśni — i nad tobą;
Otóż ja złączyć chciałbym pieśni obie
I uczcić grób twój dawny tą ozdobą,
Którą widziałem na rycerzy grobie:
Kamienną, dużą rycerską osobą,
Dla której kilka lamp grobowych spalisz,
A potem, z grobu wstająca — rozwalisz.

I nie pamiętaj o mnie w tej godzinie,
Gdy cię Bóg wielkim darem uweseli...
Lecz póki Ikwa ma rodzinna płynie,
Wezbrana łzami po tych, którzy mieli
Serce i ducha, — póki w Ukrainie
Dziad chodzi z pieśnią, a z Dniepru topieli
Ciągle niby gwar smętnych duchów mgli się
I Puławskiego śpieszny rumak śni się, —

Dopóki ludzie w nowych ducha siłach
Nie znajdą w sobie rycerstwa i śpiewu:
Dopóty ja mam prawo na mogiłach
Stanąć i śpiewać — srogi, lecz bez gniewu;
Bo wiem, jak trudno ruch obudzić w bryłach
I kazać w niebo iść ściętemu drzewu
I z tęczami się połączyć na niebie, —
Ja, co nie mogłem wskrzesić — nawet siebie!

[»BENIOWSKI«, Pieśń szósta, III.].

* * *

Duchy gdzieś poszły i nie powiedziały
Swoich boleści tym, co po nich wstaną.
Ach! nie dlatego, by zemsty nie chciały;
Ale że z myślą, bólem obłąkaną,
Nie mogły mówić: — alboby jęczały
Mówiąc; lub chwaląc się serdeczną raną,
U Bogaby swe straciły zasługi
I swój anielski rząd. Dziś wiek już drugi

Zaczął się: oni jeszcze zadziwieni,
Że nikt nie wspomniał imion, nikt nie słucha,
Co oni mówią, gdy zorza rumieni
Laski brzozowe; kiedy się głos ducha
Z aniołem pańskim na stepach ożeni
I ciągle płacze; kiedy wiatr odmucha
Osiny, i liść ów srebrny pokaże,
Co tak w księżycu lśni, jak duchów twarze...

Ach! kiedy także wyjdą w step, i staną
I gdzieś na wioskę spojrzą, dawniej swoją,
Gdzie żyto gnie się falą kołysaną,
Gdzie ciche dwory pod lipami stoją; —
Gdy ujrzą dziatki rumiane pod ścianą,
Które się dziada z srebrną lirą boją,
A już nie wiedzą, co to dawne lutnie: —
O, jak im cicho... tym duchom, jak smutnie!

Nawet gdy ujrzą zaszczepione drzewko
Przez siebie w sadzie, a dziś już stuletnie;
Nawet gdy wróble ze srebrną podszewką
Lecą — i słońcu w takt migają świetnie, —
Jak gdyby jaką niewidzialną śpiewką
Takt miały dany — i w gorąco letnie
Spadają w gęste korony czerechów,
By harfy srebrne, pełne swarów, śmiechów:

O jak im smutno! bo oni nie mogą
Odlecieć dalej, aż odlecą z nami. — —
Taki takt w locie, nim się loty wzmogą,
Poeci muszą uczynić pieśniami,
Jak tym wróbelkom czyni Bóg... O, srogo,
Srogo nas uczy Bóg i krwią i łzami
Latać nad domy i pola i sady,
Wydając jeden boży ton z gromady!

[»BENIOWSKI«, Pieśń szósta, VII.].

*   *   *

Sam nie wiem,
Dlaczego mówię tak... lecz mam przeczucie:
Czuję trumnianym pachnący modrzewiem
Naród, i w trumnie grające zepsucie...
A jednak — pod tym mogił chwastem, plewiem
Jest jakieś dziwne, ciągłe, głuche kucie,
Pod narodową słyszane mogiłą,
Jak gdyby serce ludu w kamień biło.

W północy — wstają mi włosy na głowie
I zadziwiony słucham — i to słyszę,
Co muszą boscy słyszeć aniołowie:
Jakąś okropność przyszłą, co kołysze
Światem... i miastom zapala na głowie
Straszne korony... Czujcie (ja wam piszę
Z ciemnego duchów świata list przestrogi)
Ludy, bo wkrótce będziecie jak bogi!

Co rozwiążecie wy w żelaznej dłoni,
To rozwiązanem będzie... już na wieki.
A kto odejdzie od was — gdzie się schroni?
Z was będą góry, doliny i rzeki
I morza, które wiatr na słońce goni;
Z was port zatraty będzie i opieki,
Z was będą cienie jak morza rozlane,
Z was nad morzami słońca latarniane!...

Czujcie! bo tętno już waszego chodu
W uszach wysokich ludzi — grzmi wyraźnie.
Na górach z cegieł i na igłach z lodu
Słuchałem... a duch swoją wyobraźnię
Przestroił wówczas na harfę narodu,
Me nienawiści dawne i przyjaźnie
Poddając twardej jedności... dlatego
Myśli me same się gryzą i strzegą.

Nie wy, Cheruby, co miecze z łuczywa
Macie, z papieru złotego przyłbice —
Których nie Pan Bóg, lecz człowiek używa
I wami sławy wysokiej kaplice
Oszyldwachuje... przed tym, co się zrywa
Jak wiatr, i w oczach niesie błyskawice:
Nie wy, brytany, wejścia mi bronicie!
Ja jestem gwiazdą życia — co o świcie

Skąpana w krwawej jutrzence, wychodzi
Różana — a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę. — Duch w cierpieniach rodzi
I w gniewie — ale w gniewie tak wspaniały,
Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi
W najwyższe czoła alpejskie i skały:
Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie
I śnić to, o czem śnię... niech przy mnie stanie!

Na tych wyżynach ducha jest ponura
Dla serc stroskanych cisza: tu ja czerpię
Ogień i maczam w ogniu orle pióra;
Tu, na księżyca rumianego sierpie
Piękności dawnych nieśmiertelna córa
Rozwidnia oczy me — a kiedy cierpię,
Przeszłości dawnej cień na szczycie skalnym
Stawia i czyni przede mną widzialnym.

[»BENIOWSKI«, Pieśń siódma].

* * *

byłem mędrszy z żórawi łańcucha,
Kiedym się zerwał sam i poszedł przodem;
A byłem, gdzie dwie srebrnych fontan bucha,
Przed gmachem wielkim i kolumn ogrodem.
Ja wtenczas silną różczką mego ducha,
Co w środku ma kwiat — choć okryta lodem,
Zakląłem źródła tak, że w tej potrzebie
Anioły złote mi dwa dały z siebie.

Z tęczy, co wiecznie swoją wstążką pęta
Skrzydła fontanom i włos im ubiela,
Wyszły anioły przewodnie, bliźnięta,
Wyszły i wiodły w kościół Zbawiciela—
I tę kopułę, która już pęknięta,
Jak czaszka w grobie ludzka się rozdziela,
Wzięły na skrzydła złote nad tułaczem:
Jej bym nie zwalił gromem, echem, płaczem.

Więc póki stałem pod ogromną banią,
To ją trzymała para jasnolica:
Wysokość — z niebios równałem otchłanią,
Bo ta kopuła — to Alp rówieśnica!
Chmury stukają w okna, idąc na nią, —
I do kościoła wchodzi błyskawica,
Za nią pioruny, te nawalnic wodze,
Spotkawszy kościół powietrzny — na drodze.

Potem bóg Perun, wróciwszy w Łotysze,
Puszczom i sosnom blady opowiada:
Na chmurach się tam las krzyżów kołysze
I kościół w chmurach stoi i nie spada,
Choć ja i wichry, — moi towarzysze,
Ja i me dzieci — piorunów gromada,
Bierzem go w ręce, w skrzydła, z kolumn rwiemy
I tu na puszcze litewskie niesiemy.

Ale zwycięstwo kiedyś przy nas będzie! —
Tu na piorunach czerwonych przyleci,
Marzanny w nim się zagnieżdżą łabędzie
I orły będą w czerepie mieć dzieci...
— Tak mówi Perun — ja wiem, że zdobędzie
Błyskawicami to, co próchnem świeci:
Dlategom bronił gmach od zaginienia
I aniołami ubrałem sklepienia.

A teraz wybacz, Cezarów mogiło,
I wy, Piotrowych fontan Świtezianki,
I ty, wisząca na powietrzu bryło,
I wy, kolumny, jak Pelejad wianki
Stojące w chmurach... i ty, świata siło,
Krzyżu pokorny! i wy, dawne szranki,
Gdzie lew z Chrystusa walczył apostołem:
Wybaczcie, żem się na was oparł czołem...

[»BENIOWSKI«, Pieśń ósma].

* * *

Anioły stoją na rodzinnych polach
I chcąc powitać, lecą w nasze strony;
Ludzie, schyleni w nędzy i niedolach,
Cierniowemi się kłaniają korony, —
Idą, i szyki witają podróżne
I o miecz proszą tak, jak o jałmużnę.

Postój! o, postój hułanie czerwony!
Przez co to koń twój zapieniony skacze?
— To nic... to mojej matki grób zhańbiony,
Serce mi pęka, lecz oko nie płacze!
Koń dobył iskier na głazie z marmuru
I mściwa szabla wylazła z jaszczuru.

POGRZEB KAPITANA MEYZNERA.

Braliśmy biedną trumnę ze szpitalu —
Do żebrackiego mieli rzucić dołu:
Ani łzy jednej matczynego żalu,
Ani grobowca nad garstką popiołu!
Wczora był pełny młodości i siły!
Jutro — nie będzie nawet i mogiły!

Gdyby przynajmniej przy rycerskiej śpiewce
Karabin jemu pod głowę żołnierski —
Ten sam karabin, w którym na panewce
Kurzy się jeszcze wystrzał belwederski!
Gdyby miecz w sercu lub zabójcza kula! —
Lecz nie! — szpitalne łoże i koszula!

Czy on pomyślał — tej nocy błękitów,
Gdy Polska z grobu powstająca jękła,
Gdy leżał smętny w trumnie Karmelitów,
A trumna w chwili zmartwychwstalnej pękła,
Gdy swój karabin przyciskał do łona:
Czy on pomyślał wtenczas, że tak skona?!

Dziś przyszedł chciwy jałmużny odźwierny
I przyszły wiedźmy, które trupów strzegą,
I otworzyli nam dom miłosierny
I rzekli: »Brata poznajcie waszego! —
Czy ten sam, który wczora się po świecie
Kołatał z wami? — czy go poznajecie?«

I płachtę z głowy mu szpitalną zdjęto,
Nożem pośmiertnych rzeźników czerwoną:
Źrenicę trzymał na blask odemkniętą,
Ale od braci miał twarz odwróconą;
Więceśmy rzekli wiedźmom, by zawarły
Trumnę, bo to jest nasz brat — ten umarły.

I przeraziła nas wszystkich ta nędza;
A jeden z młodszych spytał: »Gdzież go złożą?«
Odpowiedziała mu szpitalna jędza:
»W święconej ziemi, gdzie przez miłość bożą
Kładziemy poczet nasz umarłych tłumny
W jeden ogromny dół: na trumnach trumny«.

Więc ów młodzieniec, męki czując szczere,
Wydobył złoty jeden pieniądz drobny
I rzekł: »Zaśpiewać nad nim m i s e r e r e!
Niechaj ogródek ma i krzyż osobny...«
Zamilkł, a myśmy pochylili głowy,
Łzy i grosz sypiąc na talerz cynowy.

Niech ma ogródek — i niech się przed Panem
Pochwali tem, co krzyż na grobie gada:
Że był w dziewiątym pułku kapitanem,
Że go słuchała rycerzy gromada,
A dziś Ojczyźnie jest niczem niedłużny,
Chociaż osobny ma kurhan — z jałmużny.

Ale Ty, Panie, który z wysokości
Strzały twe rzucasz na kraju obrońce:
Błagamy Ciebie przez tę garstkę kości,
Zapal przynajmniej na śmierć naszą — słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,
Niechaj nas przecie widzą, gdy konamy!

Paryż, d. 30 października 1841 r.

DO PANI JOANNY BOBROWEJ.

O, gdybym ja wiódł Panią do kaskady!
To tak jak ludzie przyjaciołom wierni,
Ażbym tam zawiódł, gdzie pył leci blady
Śród leszczyn w Gisbach a śród laurów w Terni.

Dzikiebym zrywał na murawie kwiaty,
A Pani w skałach siadłabyś myśląca,
Jak Anioł skrzydłem kaskady skrzydlaty,
Czekając z nad skał śpiewu — i miesiąca.

Gdybym ja Panią do kaskady woził,
Możebym wieczną tam zatrzymał siłą —
Śpiewem skamienił i lodem zamroził
I kazał tęczom świecić nad mogiłą.

Lecz nie powiodę do takiego zdroja,
Bo teraz straszna jest ducha kaskada:
To cały duch mój i cała krew moja,
Która na Polskę chce upaść — i spada.

Raz ty porwana tym strumieniem gminnym,
Byłabyś nigdy nie wróconą światu;
Dlatego poszłaś gdzieindziej — z kim innym,
Ręki się bojąc dać dawnemu bratu.

Bo dzisiaj Polka ciekawość pokona,
A jej nie karmi to, co tłum paryski,
Gdy w sercu Polska duchem urodzona,
Jak Nimfa wstaje z perłowej kołyski.

Dzisiaj, siedzącej przed kaskadą w koczu,
Sumienie Pani powie samo głuche...
Że niegdyś łzy się tak sączyły z oczu!
A dzisiaj! oczy patrzą — takie suche!

Czyś tem przeklęta, czy błogosławiona,
Że serce zimne — oczy łez nie leją?
Powie ci kiedyś mogił druga strona,
Gdzie serca pękną, albo się rozgrzeją.

Co do mnie — wiem ja, jak to praca pusta
Serce kobiece na czas przeanielić!
Dlatego odtąd wiecznie zamknę usta
I wolę nie być z Panią — niż zgon dzielić!

Bo to okropnie: rany pozamykać,
Zagoić wszystkie dawne serca blizny!
Iść — i aniołów już nie napotykać!
Już nie mieć ani serca! — ni Ojczyzny!

Gdybym był duchem Wersalskiej natury
I taką ciebie między tłumem zoczył,
Zleciałbym na cię jak kaskada z góry,
Porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył.

1842 r. 14 maja.

*
* *

Kto potępiony, niechaj się nie chwyta
Tęcz, zawieszonych dla czystych aniołów,
Lecz niech usiądzie w ciemności i zgrzyta
I niech mu serce tak cięży, jak ołów.
Zapytaj serca, czemu nie rozkwita,
Widząc tę jasność... którą wzrok twój świeci?
Czemu nie westchnie, czemu nie podleci,
Ale za tęczy tej najdalszym brzegiem
Stoi w ciemności?... Boś zdrajcą i zbiegiem!

Boś zwołał duchy... boleścią i łzami
I był... przez cały nasz chór wysłuchany,
A gdyśmy przyszły... nie idziesz z duchami,
Ale już innych Aniołów poddany...
Dlatego próżno twój wzrok błyska skrami
I w oczach chodzą błyskawice różne:
Bo serce twoje potępione, próżne —
Straszne, jak księżyc pod myślową chmurą,
Ale bez związku z ludźmi i z naturą.

Wyrwij je z łona i wyrzuć je z siebie!
Dopóki nosisz tę martwą rzecz w sobie,
Smętek jest w tobie — i trwoga na niebie,
Bo my nie wiemy, co w tym martwym grobie
Śni się... co będzie zrobione przez ciebie?

* * *

»Wy teraz tego nie pojmiecie, Lachy,
Jak to dawnymi czasy, w wasze dwory
Wchodziły stepów pieśni, czarów strachy
I siwe często z lirami znachory
Siadali w progu, a wam lip zapachy
W dom zalatały — i pieśń i wieczory
Mieliście ciche na gankach drewnianych
I myśl o rzeczach dawno zapomnianych.

»Potem wy dziada lirnika prosili
W dom, lub dzieciątko swoje wysyłali
Z groszem, i zdrowie wy hetmanów pili
I pieśnią ludu mogilną płakali —
I sami na pieśń zarabiając, żyli,
Na koniach dziarskich po stepie latali
I powracali o smętnych wieczorach
Do domów — w krwawych wozach i taborach.

»A dziady znowu z lirami srebrnemi
Na ucztę lub na pogrzeb, jak sproszeni,
Ciągnęli stepem, siadali na ziemi
Albo pod lipą albo w waszej sieni,
W płaszczach, co były od słońca złotemi,
A od łat — niby królewskiej czerwieni,
A od błękitnych łat — jeszcze innemu
Podobne były płaszczowi — bożemu.

»Teraz już niema tej z pieśnią przyjaźni,
Ze starym ludem niema zażyłości!
Jesteście jeszcze wy do korda raźni,
Jesteście jeszcze wesołej starości,
Jesteście jeszcze w ubiorach pokaźni,
Są jeszcze u was ludzie sercem prości:
Ale już niema u waszego proga
Ludu, co wnosi pieśń i imię Boga!«

[»BENIOWSKI«, Pieśń jedenasta, II.].

* * *

Oj! powiedział ja ci, panie Regimentarz,
Że ty przegrasz walkę na kurhanach.
Oj! prowadził ty szlachtę korsuniecką na cmentarz
I z mieczami i w złotych żupanach!

Oj! powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński,
Że ci błysną śmiertelni hułani:
W step poleci, jak burza, twój rumak ukraiński
I na koniu cię strach otumani.

Oj! powiedział ja tobie, mój synaczku Sawyna,
Że ty stracisz białego rumaka.
Oj! powiedział ja tobie, że to śmierci dolina
I dolina martwego kozaka.

Wyszły pany z mgłą białą, jak łabędzie przed ranem,
I stanęli na polu przy Rosi.
Między jednym kurhanem, między drugim kurhanem
Szlachta flinty nabite podnosi.

Oj! strzelili wy tylko raz tym ogniem czerwonym
I uciekli Wielmożni Panowie —
I ruszył pan Gruszczyński i biegł na koniu wronym,
Z wielką szablą do cięcia na głowie.

Oj! hułaniż to byli, co mu drogę zabiegli,
Oj! hułaniż to byli boleśni:
Kiedy pana starego na rumaku spostrzegli,
Drogę jemu na polu dwaj hułani zabiegli
Między dwiema mogiłami na cieśni.

Chorągiewkiż to były u hułanów straszliwe,
Co się w słońca złociły promykach:
Dwie główeczki dzieciątek, dwie główeczki nieżywe
Nieśli oni hułani na pikach.

Dwie główeczki, główeczki, jak paciorki na prątkach
Nanizane, nieszczęsne i święte!
I poznał pan Gruszczyński —
krew swoją na dzieciątkach,
Poznał swoje dzieciątka zarżnięte, —

I usta swe otworzył i w krzyż ręce otworzył
I stał stary ojciec na strzemionach,
Aż go szablą ciął kozak — i na ziemi położył
I krew jemu ciekła po ramionach.

I żywcem go schwycili i na step ukraiński
Płaczącego ponieśli na żłobie...
Oj! powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński,
Lecz wszystkiego nie powiedział ja tobie!

[Duma Lirnika z »BENIOWSKIEGO«, Pieśń jedenasta V.].

* * *

Pierwsza kibitko ruska! gdy w okręcie
Polskim już zapach strupiały poczuto,
Ty pokazałaś się w śniegu zamęcie
Jako ludożer pierwszy, za tą szkutą
Płynący... Inne ryby mają cięcie
Lub paszczę, na miecz srebrzysty przekutą,
I pod wodami są okrętom piłą,
A potem — ludzi pożartych mogiłą.

Z pod głębi morza nigdy nie wychodzą,
Ale chowają tam okropne głody;
Jako robaki spodom trumien szkodzą
I połykają okręt paszczą wody
I tam w ciemnościach za trupami chodzą.
Gdy morze pełne zdaje się pogody,
Błękitne: to się w morzu gonią one
Przez głębie, mordem podziemnym czerwone.

Takie się ryby, chowające w ciemni,
Zowią... nie powiem słowa, bo jest trudne,
Bo i dziś są ci morderce podziemni,
Ubrani w blaski boże, lecz obłudne;
Bo mi jest nawet milej i przyjemniej
Patrzeć na pola Sybiru bezludne,
Na cień kibitki, która w śniegu goni,
A tak, jako ksiądz z Panem Bogiem, dzwoni.

Gdy leci, jakiś smutek goni za nią
I jakaś dziwna świętość wyprowadza
Za pola: drogi całe się tumanią,
Lasowi, zda się, że szumieć przeszkadza.
Kiedy gdzie trzodę rozbije baranią
Jak bomba, która cały szyk rozsadza:
Matki trzód, zdjęte boleścią człowieczą,
Jak za swojemi jagniętami beczą

I długo patrzą; — a gdzieś potem morze
Śniegowe, słońca u wołżańskiej wody
I czerwone ją nadsybirskie zorze
I gdzieś jak gromy pękające lody,
Jakoby wielkie jakieś salwy boże,
Ostrzeliwają... bo ziarno swobody
Wniosła na ziemię tę martwą i siną,
Którą zwie Tacyt ludów oficyną.

[»BENIOWSKI«, Pieśń dwunasta].

* * *

Nad morza teraz uciekam i blade
Tęczą nadmorskich kwiatów, wietrzne pola
Depcę, a wielkich duchów o poradę
Pytam — i często piorunowa wola
Ściąga mi taką moc, że ręce kładę
Na wiatrach, jako na harfy Eola
Strunach — i gra mi wiatr jak najboleśniej,
A ja posyłam na północ te pieśni.

Na północ je posyłam — miejcie czucie!
Bo kiedy głucho grzmot bez żadnej chmury
Słychać — i kiedy słychać jakieś kucie
Jakby podziemnych zbrój — i kiedy z góry
Słychać jakoby sztandarów rozprucie
I szelest, niby orzeł je w pazury
Chwytał i ciągle darł jak stare szatry:
Słuchajcie! to ja błogosławię wiatry.

I gdy na sennych was uderzą strachy
I gdy zbudzicie się w łożu spotniali
I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali;
Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Bogu pokaże i przed nim powali,
A będzie ziemia cichą jak mogiła:
Słuchajcie! bo ten strach, to moja siła!...

Kiedy nie wiedzieć skąd, dziecko się małe
Rozpłacze, rączki założy na głowie,
Wpatrzy się w ciemność i stanie się białe,
Jak próchniejąca wilcza kość w parowie;
Gdy włoski staną mu jak zmartwychwstałe
I przedrży wielki strach, a nic nie powie,
Lub co innego wam w uśmiechu skłamie:
To mój go porwał wiatr i moje ramię...

Boleścią moją powietrze zaklęte
Stało się mocą, bronią — pełne ducha!
I czasem do was gra, jak harfy święte,
A czasem waszej odpowiedzi słucha...
Wtenczas — o straszne godziny przeklęte!
Siadam i strumień łez mi z oczu bucha
I przed Bogiem się nieśmiertelnym korzę,
Że mój duch cierpi tak — a nic nie może!

Kiedy wyjdziecie na ziemię różaną
Rankiem, a o mym duchu śnić będziecie:
Trzody leżące na kurhanach wstaną,
Owce się ruszą, perły łąk... znajdziecie
Tę okolicę całą zasłuchaną
W powietrze, w dźwięki, w smutek. Jeśli w lecie
Żeńce na polach żną, to przy kopicy
Siędą, jak dawni rzymscy niewolnicy

Smętni i groźni: to moja daleka
Moc i pieśń, która serce przeobraża
I niewolnika przedzierzga w człowieka.
Ale cóż znaczy moc i pieśń harfiarza?...

[»BENIOWSKI«, Pieśń dwunasta].

* * *

O Trojo! jeszczebyś aż dotąd stała,
Pełna cnót dziwnych, starych — i miłości,
Jak dawny kościół cedrowy — spróchniała,
Gdzie jednak boża woń aż dotąd gości,
A często belka stara w oczach ludu
Rozkwitnie różą lub narcyzem cudu.

Bo i z tych starych łbów, szablą naciętych,
Mogłaby jeszcze wykwitnąć myśl duża,
Piękniej niż dzisiaj; bo jak z ducha świętych,
Większyby wyszedł kwiat, pełniejsza róża —
I na turkusie skrzydeł rozciągniętych
Mogliby swój duch za anioła stróża
Postawić światu: gdybyś ty był, Panie,
Aniołom twoim kazał mieć staranie

O tych dzieciątkach starych! A to oni,
Nie pożegnawszy nas nawet i woli
Nie zostawiwszy względem starej broni
I względem swojej puścizny i roli,
Odeszli... Ucho jeszcze nasze dzwoni
Brzękiem ich szabel, serce jeszcze boli
Bólem ich serca: lecz pełna zamętu
Myśl, bo odeszli nas — bez testamentu.

Któż słyszał jakie tajemnicze słowo,
Na którem stanąć mogliby synowie?
Wszystko śpi głucho pod deską grobową!
Kto co od trumien zasłyszał — niech powie,
A odbudujem całą Polskę nową
Na tem jedynem, tajemniczem słowie...
Na tę myśl anioł się we mnie uśmiecha,
A razem pełny łez... Cóż, nigdzie echa?

Nigdzie!! Tylko ten rym tętniący bieży
Jakoby w rzymskiej ruinie kaskada,
Co skrzy i błyska i dymi i śnieży
I płacze i grzmi i jęczy i gada
I swój nimfowy włos tęczami jeży,
A spodem głazy powoli wyjada: —
I tak przy słońcu i tak w blask miesiąca,
Jak Chrystus... ciągle w sobie pracująca.

[»BENIOWSKI«, Pieśń trzynasta].

KOLENDA.

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes.

Nad sianem, nad żłóbeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes.

Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki
Cantantes.

Przyleciały łańcuchy
Żórawi, srebrne puchy
Mutantes.

Puchu wzięła troszeczkę,
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku;

Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłóbiątku.

[ZE »ZŁOTEJ CZASZKI«].

PIEŚŃ KONFEDERATÓW.

Nigdy z królami nie będziem w aliansach,
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi:
Bo u Chrystusa my na ordynansach,
Słudzy Maryi!

Więc choć się spęka świat i zadrży słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą,
Choćby na smokach wojska latające:
Nas nie zatrwożą.

Bóg naszych ojców i dzisiaj jest z nami!
Więc nie dopuści upaść żadnej klęsce;
Wszak póki On był z naszymi ojcami,
Byli zwycięsce!

Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
Nie uklękniemy przed mocarzy władzą:
Wiedząc, że nawet grobowce nas same
Bogu oddadzą.

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy,
A spać pójdziemy o wieczornej zorzy:
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec boży.

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten, *de profundis*, z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie.

Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
Póki On z nami, całe piekła pękną,
Ani ogniste smoki nas ustraszą,
Ani ulękną.

Nie złamie nas głód, ni żaden frasunek,
Ani zhołdują żadne świata hołdy:
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
Na jego żołdy.

[Z »KSIĘDZA MARKA«].

* * *

W tym wietrze rannym, co we włosy wieje,
W tem słońcu złotem, co ci oczy razi,
W tej wodzie Bohu, co się wiecznie leje,
W tem niebie, które żaden dym nie kazi,
W tej róży polnej, co się na świat śmieje:
Jest ziarno nudy, co się przeobrazi
W ziarno tęsknoty, gdy myśl zwiędnie młoda
Jak róża, i upłynie — jak ta woda.

Myśl się w ten błękit nieskończony wgryza,
W tę ozłoconą ziemię się zacieka,
Jakby w niej spała uczuć Heloiza,
Która na trupa kochanego czeka
Na łożu z jasnej róży i narcyza...
We śnie, gdy z trumny jej podniosą wieka,
Otworzy ręce ta grobu odźwierna,
Spokojna, chłodna, zmarła — ale wierna.

Któż nie ma w ziemi miejsca w jakiej trumnie?
Chyba przeklęty lub nadto wysoki,
Podobny smutnej na polu kolumnie,
Co tylko głową gwiazdy i obłoki
Kochała, zawsze wyglądając dumnie,
Chociaż jej siostry upadły w potoki
Cefizu i tam leżą w modrej fali...
Lecz kto tak dumnie żył, czemuż się żali?

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła: niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu
I słychać jęk szatanów w sosen szumie...
Tak żyłem. Teraz widzę pełen sromu,
Że mam łez pełne oczy; lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi przed mogiłą
Z aniołem śmierci żyć tak straszno było...

Lecz to już przeszło; widma poznikały.
Do ciebie, matko moja, twarz obrócę;
Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,
Z obłędnych krajów położyć się wrócę
U twoich biednych stóp — bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łzy próżnej. Obojętnie zrzucę
Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy,
Jak liść, co we śnie upadł mi na włosy...

Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie;
Lecz ileż razy z fal i mórz i burzy
Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,
Jak człowiek, który myśląc oczy mruży:
Myśląc, że myślisz o mnie, o twym synie,
Który nieszczęścia bogu wiernie służy,
Lecz bez nadziei, łzami twemi żywy,
Jak Chrystusowe w Ogrojcu oliwy.

Z błogosławieństwa twego miałem blaski,
Gwiazdom podobne, i cień w puszczach Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski
Rył imię twoje tam, gdzie same głazy
I słychać tylko fal libijskich wrzaski,
Eschylowskimi budzone wyrazy.
Echa słyszały twoje święte imię
I słyszał je on laurów las, co drzémie.

I nad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdem miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła —
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę — wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
Umarłym, i chęć śmierci duszą pije:
Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.

W Romie podobny głos twemu głosowi
Słyszałem: anioł życia zadrżał we mnie!

Aniołowie mi ciebie nadpalmowi
Pokazywali, świecącą przyjemnie
W gwiazdach, tam gdzie był żłobek Chrystusowi, —
I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,
Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe
I ból swój stłumić pozdrowieniem: Ave!...

[Z fragmentów »BENIOWSKIEGO«].

DO MATKI.

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych;
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, żebym Ci wróceniem mojem lat przysporzył. —
Mów, kiedy cię spytają, czy twój syn powraca,
Że syn twój na sztandarach jak pies się położył,
I choć wołasz, nie idzie — oczy tylko zwraca.

Oczy zwraca ku tobie... więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłómaczy;
Lecz woli konający — nie iść na obrożę,
Lecz woli zamiast hańby — pić czarę rozpaczy!

Przebaczże mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Trzebaby — toby ciebie pewno nie opuścił.

TESTAMENT MÓJ.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A jakgdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla Ojczyzny sterał moje lata młode;
A póki okręt walczył — siedziałem na maszcie,
A gdy tonął — z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej Ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie
I tej, która mi dała to serce, oddadzą:
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siądą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biedę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki — nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;

A kiedy trzeba — na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne:
Znać, że srogą spełniłem, twardą, bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

POETA I NATCHNIENIE.

[FRAGMENTY POEMATU].

POETA.

Atesso!...

ATESSA.

Jestem... alem uciekała,
Bo mnie ta dziwna pieśń... w otchłanie niosła.
Wszak wiesz, żem z tobą razem zmartwychwstała
I razem z tobą znów różana rosła.
Wszak wiesz... gdzie oliw czarny gaj i skała
I srebrne... ogniem ozłocone wiosła;
Wszak wiesz... ta chata nasza bez zapory,
To falarneńskie wino... i amfory — —

I w ścianach różne marmuru odłamy
I strumień, co tam w takt lutniowy ciecze...
Wszak ty pamiętasz — bywało, czytamy,
A ja Eschyla tobie rym kaleczę;
A gdzieś daleko... na Pnyksie, u bramy
Słońce... na tańca piryjskiego miecze
Wzięte... przez liście cytryn się przeciska
I w oczy nasze zamyślone błyska...

Tam chór prowadzą młodzieńce na polu,
A tam z Hymetu księżyc biały miga...

POETA.

Dosyć, o, duchu biały, bo mi z bolu
Znów serce pęka...

ATESSA.

O, ten sen mnie ściga!

POETA.

O straszny boże burz... o ty, Eolu,
Coś ze skał wiatry wypuścił na Fryga!
Dziś pomieściłeś wszystkie Akwilony
W grobach — i z mogił twoich dmiesz szalony.

ATESSA.

Spokojnie, o, mój kochanku!...

POETA.

Spokojnie!

ATESSA.

Jesteś jak nimfa Echo...

POETA.

Nimfa Echo.

ATESSA.

Ja ci mówiłam po Farsalskiej wojnie,
Że mak, co rośnie pod Greczyna strzechą,
Nie uśpi... harfa, chociaż zagra strojnie,
Chociaż wesoło... nie będzie uciechą, —
Że piękność kształtów będzie w sercu brzydła:
Wtenczas wyrosły mi motyle skrzydła

I poleciałam... gdzieś na jakąś górę,
Nad którą słońce w krwi, księżyc w zaćmieniu —
Męka, co całą męczyła naturę —
I krzyż na słońca czerwonym pierścieniu;
A ja... w te śmierci otchłanie ponure...
Na moich skrzydeł tęczowym promieniu
Lecąca... jako dziś... patrz — upior blady,
Ja, pierwsza z różnych piękności Hellady...

Czemu nie patrzysz na mnie?... O! czy żal ci
Mojego włosa... pełniejszego łona...
I ducha tego, co jak czarę kształci
Pierś... i pięknością obleka ramiona?
Teraz patrz — wiatr mi kształt spokojny gwałci;
Gdy zadrżysz — jestem ja sama wzruszona,
Oczy się moje jak szafir krysztalą,
Rany na nogach i rękach się palą...

POETA.

Rany twe płoną — widzę — szafir nocy
Ma z twoich strasznych ran cztery pochodnie.
Pal się!... nie mogę żadnej dać pomocy,
Tylko to powiem, że przez krew i zbrodnie
Szukałem ciebie, rosnąc w piękność mocy,
Która po twojej trzyma niezawodnie
Najpierwsze miejsce u samego Boga...
On wie, że w moim duchu nie miał wroga.

Lecz ty aż teraz, jak krzyż zapalony,
Przyszłaś, — kiedy ja wichrem nieszczęść zbity
I tak jak sztandar kulami zniszczony,
I tak jako hełm Hektora — bez kity,
I tak jak harfa, co straciła tony,
I tak jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitośne wystawiony wzroki, —
I tak widzący swój zgon, jak proroki:

Walę się w prochu... Gdzie byłaś, siostrzana
Duszo, kiedym ja cierpiał? Czy pod krzyżem,
Z tęczowych twoich skrzydeł oberwana,
Śmiałaś się... gdym ja stutysięcznym spiżem
Na świecie imię obwoływał Pana,
A sam — spędzany zawsze skrzydłem chyżem
Śmierci — musiałem nędzny grób rozrywać
I sam przychodzić — i znów odlatywać?...

Gdzie byłaś, gdym tu nareszcie za karę
I za ostatni los — z potęgą słowa
Wstał, słysząc w duchu jakieś wieki stare,
Których ogromna szmerność podgrobowa...?

ATESSA.

Przy tobie byłam; przez powietrze szare
Snułam się cicho, jak wizya tęczowa;
Obłok nas jeden tylko dzielił cienki,
Taki łagodny, jako róż jutrzenki.

W dzieciństwie twojem samotna... a potem
Musiałam z większą liczbą mar przychodzić:
Cicha — gwiazdowem uwieńczona złotem,
Smętna, że duszy twojej rozpogodzić
Nie mogłam. — Przestań już pamięci lotem
W dalszych się wiekach twoją myślą rodzić...
Patrz! jak w stygmatach piękna, w górne sfery
Lecę, ran niosąc zapalonych cztery.

POETA.

Nad tobą wyżej...

ATESSA.

Co?

POETA.

Trzy miliony
Słońc i duch jakiś...

ATESSA.

Co? posłaniec boży?

POETA.

Tam głębszy szafir; z pod słońca korony,
Na trzech obłokach, niby lekkiej zorzy,

Jak jaka srebrna lampa zawieszony,
Pali się miesiąc; liczba gwiazd się mnoży,
Wyiskrza szafir — zda się, jak stal pryśnie — —
Coś w nim od słońca jaśniejszego błyśnie...

Ach! od słońca by w oczy mi nie biła
Taka ogromna jasność, jak z tych oczu
Spuszczonych! Cały świat rozweseliła,
Oblana słońcem złotem po warkoczu:
Taka miłości w niej ogromna siła,
Że gdy stanęła na ciemnem przezroczu,
Słońc się girlandy — niby zawrócone
Żórawie — wiążą w nadświętą koronę.

Siostro! twe rany mocniej się płomienią,
A z twoich oczu wesołość wylata,
I szaty twoje się jak tęcza mienią,
I pierś wzniesiona — i skrzydli się szata.
Nie leć! te słońca ciebie opierścienią
Jak powój, który kolumnę oplata,
I tam zostaniesz, statui starożytnej
Podobna — śród słońc złotych — przy błękitnej...

ATESSA.

O nie zostanę! bo w tej gwiazd powodzi
Ona się zniża — i z duchami swemi —
I na miesiącu swym na ziemię schodzi,
Bo zapragniona jest znowu na ziemi.
Oto więc na swej półmiesięcznej łodzi
Płynie, rękami sypiąca złotemi
Litosną miłość... dawno tak widziana
Na wyspie Patmos przez świętego Jana...

Patrzaj na ciemne, szmaragdowe lasy!
Zniżyła się tam i rzuca z pod siebie
Dwa wielkie tęczy rozwiniętej pasy,

Które się od niej zaczęły na niebie.
Przychodzą nowe na świat, Pańskie czasy:
Niechaj umarły swych umarłych grzebie!
A ty nie maż ust światowym piołunem,
Ale tej łaski Pańskiej bądź zwiastunem!

Widzę, jak oczy twe światłami skrzą się
I za tym widem przeszły i wróciły
Bez łez... Czyć zawsze napisano w losie
Nie być miłości duchem, ale siły? —
Mów do mnie! Może w twoim smętnym głosie
Nie będzie echa podziemnej mogiły?
O nie! ty cały łamiesz się w boleści,
A twoja ręka szuka rękojeści...

POETA.

To nic — jam pobladł... duch mój jest otchłanią
Tęsknot i musi strzedz się własną mocą.
Czuję, że gdybym ja poleciał za nią
Tam, gdzie te światła całą ziemię złocą:
Byłbym jak jedna z gwiazd, co się tumanią
I przez tęczowe jej rąbki migocą
I już... już własnej twarzy mieć nie mogą;
A ja tu czekam w ciemności —

ATESSA.

Na kogo?

POETA.

Żaden duch nie jest bez przyjaciół własnych,
Żaden głos nie jest bez ech — poza światem...
Raz ja nad Ikwą po mych łąkach jasnych
Błądząc, znudzony błękitem i kwiatem —
Bo mi w pamięci koral twych ust krasnych,
Co perły takim obwodzi szkarłatem,

Jaśniej się palił — i twoje oblicze
Skrzyło jak słońce myśli tajemnicze —;

Znudzony, że mój głos tu nie pomaga
Ludziom w niewoli — ogień serca pije,
A ciągłej szczęścia ofiary wymaga
I ciągle serca mego jadłem żyje — —
A tu na świecie różna jakaś waga
Waży wypadki... człek podłością tyje
I spity winem — pieśń, co aniołowie
Dają — za pościel kładzie i wezgłowie:

Siadłem pod chatą kobiety cmentarnej,
Co odmykała trumnom kołowroty,
I pełny byłem wtenczas myśli czarnej
Jak Brutus... który na twarz białą cnoty
Krwią swoją rzucił. — A u gospodarnej
Kobiety były z malw ogromne płoty
I z nędzą piękność tak złączona sielska,
Że chata się ta zdawała anielska.

Wszystko mi jakiś wzrok duchowy, blady
Przemieniał w dziwy: zda się — różczką trącę,
A te malwowe z tęczy kolumnady
Dostaną nieba; a te pałające
Cynowe miski — to wróżce na składy
Rusałki swoje oddały miesiące,
A te na półce girlandami świecą
I gdy kur nocny zapieje, wylecą.

Ja byłem wtenczas dziecię — lecz do gliny
Kiedy wejdziemy, my straszniejsi z duchów,
To mamy straszne w dziecińStwie godziny,
Gdzie duch bez żadnych więzów i łańcuchów
Ma ostrzeżenie. W mogilne doliny
Chodzimy chętnie... niby dla podsłuchów —
A duchy wtenczas rozmawiają z nami
Same, lub tylko natury ustami.

Otóż i wtenczas w myślach moich zamęt,
Zwątpienie było — rozpacz nad zabitą
Polską... Gdzież, rzekłem, jest taki sakrament,
Coby w niej martwej chodził siłą skrytą,
Jak krew żyjąca?... Taki był mój lament,
Który me oczy wnet zamienił w sito,
Siejące perły łez. A wtem od Boga
Przyszła nauka wielka i przestroga.

Skrzypnęła czegoś jedna stara belka
I poruszyła gniazdo jaskółczychy;
Z gniazda wypadła ptaszyna niewielka,
Bez pierza, mały, zimny trupek, lichy:
Więc potem tego dziecka rodzicielka
I ojciec w domek przylecieli cichy
Prosto do gniazda, do swojego kątka,
I nie znalazłszy swojego dzieciątka,

Wyszli oboje — Boże! z jaką wrzawą —
Wie matka, której ludzie dziecko skradli!
Wreszcie ujrzeli go pod moją ławą —
Oboje z nieba jak martwi upadli,
Ojciec na lewo, a matka na prawo;
Usiedli przy niem, a skrzydła tak kładli
I tak włóczyli biedaczki za sobą
Jak płaczki, ciężką okryte żałobą.

Lecz śmierć ptaszęcia taka była świeża,
Tak niespodziana, taką zda się zdradą
Niebios, że ojciec, matka nie dowierza: —
Owszem, przy dzióbku żer mu jeszcze kładą,
Dzióbkami ciałka próbują i pierza,
A ono, z główką wyciągniętą, bladą,
Z początkiem tylko dziecięcych skrzydełek
Leży, jak srebrny na herbie orzełek.

Więc — o! niewiaro cudna, rodzicielska,
O! długie, piękne tych serc niepokoje,

O, cudna myśli w ptaszkach, już anielska! —
Za skrzydła wzięli dzieciątko oboje,
I wyżej — niż tam brzoza, nimfa sielska,
Rozrzuca swoje girlandowe zwoje —
Podnieśli... myśląc że w niem lot roznieci
Życie, że z dzióbków puszczone... poleci!

Tak połączone przez biały dyament
Stało nade mną w niebie biedne stadło.
Potem je może zdjął rozpaczy zamęt,
Bo upuścili dziecko... a to spadło;
A oni siedli nad niem znów, i lament
Taki podnieśli, że mi lice bladło,
Serce bolało, tak jak dzisiaj boli:
Bo coś tam dla mnie jest w tej paraboli...

O, tak! nim ja w śmierć Ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup, leżąc w grobie, zbrzydła:
Potargam wprzódy ją pieśnią za pierze,
Położę wprzódy na pieśniane skrzydła,
Porwę ją z ziemi tak, jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci: —
Puszczę... jeżeli żywa, to poleci...

Dziecinna to myśl! co... duma dziecinna!
Jam się sam rozbił piersią o granity,
Ale głos, ani też lutnia — niewinna...
Cóż ty mi teraz pokazujesz świty,
Gdzie inna matka — i królowa gminna
Dzieciątka swoje podnosi w błękity:
Tak lekko duchy podnosząca wolne,
Jakby z łąk brała piękne kwiaty polne?...

Cóż ty mię smucisz tym pięknym widokiem
Tęcz i błękitów? — za mną inna strona
I duchy, co się na pieśń zbiegły tłokiem,

Od których była już ogniem czerwona,
Ich tchem trująca, tętniąca ich krokiem...
Dobranoc! — harfiarz wasz posępnie kona!
Klnie wam i kona... precz straszydła stare!
O siostro! odpędź ode mnie tę marę!

ATESSA.

W powietrzu widzę trzy...

POETA.

Trzy przyszły razem?

ATESSA.

Twój włos zjeżony operlił się potem!

POETA.

Patrz, za cerkiewnym — o! tym bohomazem
Powietrze całe się wydaje złotem...
Zapewneś przyszedł od duchów z rozkazem:
Albo mi lirą powiedz — albo grzmotem? —
Tak zwykle gadał; gdy mu się podoba,
To w jęku głosy te połączy oba.

Teraz nie mówi nic, lecz stoi srogi
I zda się, twarz mi swoją w pamięć wraża...
A tamten — patrzaj! tak piękny, jak bogi —
Który wygląda także na harfiarza,
Ale instrument ma bardzo ubogi:
Sam widać był tej harfie za stolarza. —
Dziwna!... rybie w niej srebrzą się ościenie
I labradorskie Sybiru kamienie.

Struny, podobne do starych badylów,
Pod palcem tego ducha drżą spróchniałe...

A co? czy dobrze na niej panna Nilów
Grała, wywiodłszy ciebie gdzieś na skałę
Kamczatki, kędy jasne roje gilów
Latały słuchać, gdy jej rączki białe
W powietrze pełne mgieł, duchów i szronów
Lały z tej harfy girlandami tonów?

O, powiedz, jakie ci sny o młodości
I o twej miłej Ojczyźnie wyjęczał
Jęk tej źle z renów ostruganej kości
I tej dziewczyny głos, który wyręczał
Anioła stróża: a ty — o litości!
W oczy jej patrzał czyste, u nóg klęczał,
A drugą myśli połową pieśń mijał,
Palił dom, ojca w płomieniach zabijał...

Powiedz, czy w harfie tej dziś jest żałosny
Tego dziecięcia jęk i skarga cicha?
Czyś ty pomiędzy aniołami głośny
Tą harfą? Czy ci ręka nie usycha?...
Patrz... ten duch, niegdyś tak mało litosny
Temu dziewczyny sercu, teraz wzdycha
I lirnikowi palcem pokazuje,
Jakby chciał mówić: patrzaj, on to czuje!

Precz bladzi! — i ten trzeci, co nad głowy
Wyciąga ręce i nad wami trzyma
Swój wielki, bardzo ciężki krzyż cynowy,
Niech mnie nie prosi łzawemi oczyma!
Stary świat skonał... nie zaczął się nowy,
Dla takich duchów, jak wy, miejsca niema!
Lećcie i w nową zorzę się rozpłyńcie
I bądźcie nowi duchem — albo gińcie!

ATESSA.

Stój! oni wszyscy z wiarą i nadzieją;
Pozwól im swojej duszy jak kościoła,

Gdzie teraz żadne lampy nie jaśnieją!
Kto wie, przez ciebie jaki głos zawoła,
Gdy będą w tobie... Patrzaj, jak pięknieją!
Ogień im tryska z nóg i z rąk i z czoła —
To wielkie duchy i wydarte niebu!...

POETA.

Czegoż ode mnie oni chcą?

ATESSA.

Pogrzebu.

POETA.

O tak! grabarzem będę... Ten wid złoci
Mgły mej pamięci, siostro, — i twój wieniec
Z gwiazd, do ogromnych podobnych stokroci,
Dziwny ci na twarz rzuca półrumieniec:
Ty, jak konwalia na ziemskiej wilgoci
Łez, dobrze kwitniesz... a ja potępieniec
Dobrze w natchnienia żyję dzikim wichrze
I serce wtenczas mam lepsze i cichsze.

I ja to widzę, że wola Jehowy
Jest, aby nowy świat stanął przed świtem.
Nie pożałuję ręki ani głowy,
Gdy przyjdzie pora. Ale pod błękitem
Gdzie jest kto świeży i zupełnie nowy,
By świat od razu jednym zbił granitem?
Duchy, co duchów oszukują, złe są. —
Z błękitów do mnie, Atesso! Atesso!

Świadcz o mnie, czym ja kiedy Polski ducha
W żywotną jego część i w serce ranił?
Czym gdzie zabaczył pleśń, szczątki łańcucha,
Fałsz, co źrenice światłami tumanił?...

Nigdy na boży głos nie była sucha
Źrenica moja, choć mnie Bóg oszklanił
W koło... jak ludzi oddziela fatalnych
Od ludzi — światem rzeczy niewidzialnych.

Teraz już serce moje pełne śniegu,
Który tam zima uczuć naprószyła;
A przyjacioły moje już do biegu
Świat boży pędzą: jest w nich Bóg i siła.
Może też Bóg chciał, aby w tym szeregu
Z ludźmi żywymi — ma jedna mogiła
Raziła dziwem takiego sąsiedztwa
Nie dla pośmiechu, ale dla świadectwa

I dla przestrachu... I tak się do ruchu
Wiąże girlanda wiosennych żórawi.
W kraju tam jeszcze o tem ani słuchu
A tu już — ducha krwią naszego krwawi —
Serce przy sercu stoim, duch przy duchu:
Bóg rozkwitnieniu w nas serc błogosławi,
Janowych widzeń ozłaca zapałem,
Chrystus krwią poi i nakarmia ciałem.

I już nam widać przez oczy proroka,
Jak Polska nowa na stolicy siada,
Kopułą duchów swych świętych wysoka,
A nizka, kiedy przed Panem upada;
A kiedy patrzy w świat — orlego oka;
A jako tysiąc harf — gdy z Panem gada,
Oblana wdzięków dziewiczych szkarłatem;
A jako tysiąc grzmotów — gdy ze światem.

O, daruj Panie!... tej wielkiej pustyni,
Co się w marmury i twój krzyż ubrała:
Jednego wieszcza mnie rym śmielszym czyni,
Że tego wiary katolickiej ciała
Dotknę się... Ślimak, który kwiaty ślini,

Tak ich nie brzydzi, jako ta zuchwała,
Fałszywa, dawna po Cezarach wdowa,
Kościół, — bez ducha Bożego i słowa.

Mój Ukraińcu! nie wołaj tam Jana,
Niech śpi pod swoją lipą czarnoleską!
Cóż jego biedna lutnia — siostra dzbana
Pod tą kopułą złotą, pod niebieską?
Troska w niej życia jest poprzeczuwana,
Lecz ta, co leży pod trumianą deską —
Dziś błyskawicą rozdarta północną —
Nigdy mu głowy nie zajęła mocno.

Innego trzeba w Rzymie przewodnika
I ten już idzie, duch prawdy i wiary.
Tego weź, niech ci kościoły odmyka,
Niech Sobieskiego potrzęsie sztandary:
A z tego pyłu niech oczy lirnika
Tworzą chodzące po kościołach mary...

Precz z niemi! — nudzą mego ducha, łamią:
Ten swój sybirski instrument przynosi,
A dziś muzycy tak na strunach kłamią
Czucie, że serce pęka — łza cię rosi —
A oni, jako stawy zaszłe szlamią,
Przez nerwy sączą żółtą krew. — Kto głosi,
Że pieśnią do łez poruszy słuchaczy,
Ten musiał wprzódy zwaryować z rozpaczy.

Nie tak, pamiętasz, my... Najokropniejsze
Godziny nasze przeszły w takiej ciszy...

A oto wyszedł — jakby Rafaela
Tarcza, okryta różnem malowaniem, —

Księżyc i zagrał pierwszą pieśń wesela,
Wyszedłszy świecić przed samem zaraniem;
A z niego wielki miecz płomienny strzela,
Nazwany w niebie niebieskiem nazwaniem,
Przed którym zadrży i fałsz i pokusa:
Lecz nikt nie dźwignie miecza — prócz Chrystusa!

On na nim ręce skrwawione położy,
Potem podniesie i trzy razy mieczem
Niebiosa całe rozetnie, otworzy.
Wtenczas my duchy pod gwiazdy ucieczem,
Bo z nieba wyjdzie na ziemię duch boży;
A my z tej ziemi mgły i chmury zwleczem,
By się spotkała jej twarz z bożą twarzą:
Wtenczas się słońce i gwiazdy przerażą.

Świętych zobaczysz pańskich w jednej stronie,
Podobnych chmurze słonecznej: — Maryja
Stać będzie w słońcu, na złotem wrzecionie
Kręcąc jako ta, która tęczę zwija;
A po tych tęczach aniołowe konie
Będą latały — a szatan jak żmija
Będzie je straszył wielkim dymu kłębem
I językowym je zhuka trójzębem.

Potem to wszystko razem się zasunie
Mgłą... i by lampa zgaszona zagaśnie—
I tam na ziemi po nocy coś runie
I echa niebios tak zajęczą właśnie,
Jak kiedy piorun idzie po piorunie
A potem zagra po skałach i zaśnie...
I znów się zwali coś z odgłosem strzału
Smętniej, jak echo pierwszego powału.

Wtenczas na niebie wyjdzie anioł blady
Z lampą, olejem napełnioną smolnym,

I rzeknie: »gdzie są ciał i kości składy,
Abym je palił lampy ogniem wolnym?«
To mówiąc, pójdzie i różne gromady
Trupów oświetli, i ogniem okolnym
Lampy stosy ciał będzie oczerwieniał —
A ciągle idąc, strach i miejsce zmieniał.

Miejsce, gdzie przejdzie, będzie zwane drogą
Poszukiwania — nakształt czarnej szramy.
A idąc, anioł ów nadepce nogą
Grób i wykrzyknie: »Rola halcedamy!
Tutaj się ludzie nassać duchem mogą,
Ale zamknięte są już srebrne bramy
I dzień tu biały powróci nieskoro!«
To mówiąc, lampę rzuci w krwi jezioro.

I znów się stanie noc — i z końców obu
Świata płacz wielki pójdzie, jak z bożnicy.
Potem aniołki od świętego żłobu,
Jak białe róże od Bogurodzicy,
Sypiąc się, rzekną: »Czas ci wstawać z grobu!
Wstań, bez korony złotej i zbroicy,
Płomieniem serca świecąca od łona!
Wstań, jakąś była w grobie położona«.

A wtenczas mgła się ze słońca usunie
I ta — co była w słońcu — znów odkryta
Rzeknie: »Wy słońce w jej znajdziecie trunie
I stratowany miesiąc przez kopyta.
Niech tak na zorzy pokaże się łunie
Piękna, jak piękna leżała zabita!
Niechże tak chwałę wskrzeszenia opowie
Z księżycem u nóg — ze słońcem na głowie!«

»Lecz nim powstanie, niech z niej będzie zdjęty
Sąd, bo zaprawdę niewinnie sądzona!«
To mówiąc... przyjdzie jeden anioł święty

I poda księgę... i jedna czerwona
Karta w tej księdze, jako liść pomięty,
Mokra — wydarta będzie i rzucona
W czeluść... a duchy, co tam chór prowadzą,
Lecącej — aby spadła — miejsce dadzą...

Potem umarłej będzie podniesienie
I salutacya: a ta w takiej sile
Rozeszle pierwsze pośmiertne promienie,
Że na ostatniej aż, smętnej mogile
Końce położą. — Więc ducha nasienie
Wszędzie się ruszy, śpiące w wieków pyle.
Zaprawdę! przyjdzie do niej z wielką chwałą
To dziecię — co jej jasełka oddało.

Potem się w pierwsze bicie serca wsłucha
I rzeknie z wielkim uśmiechem: »O, Panie!
Nie z ciała jestem wskrzeszona, lecz z ducha;
Niech mi się jako służebnicy stanie!...

Tak nieraz, stojąc, stary majster cechu
Z chorągwi jednej sklepienie uczyni
Dla trzystu ludzi; — albo gdy na blechu
Rozciągnie płótno dobra gospodyni:
Tysiące kwiatków nie widzi uśmiechu
Słońca i oczu Efeskiej bogini,
Ale się muszą poddać — z tą nadzieją,
Że płótna wkrótce słońcem wysrebrnieją

I będą zdjęte. — Jestem z liczby kwiatów
Podobrusowych: często słyszę ślepy,
Nade mną jakieś kruszenie się światów,
Szczepienie duchów nowych w stare szczepy,

Pszczelny brzęk — niby naszych antenatów,
Idących pomódz. — Lecz że ja do rzepy
Płonącą świeczkę włożę, pisząc wiersze,
Nie widzę, abym widział światy szersze.
...

ATESSA.

Zawszeż ta bojaźń o nabyte skarby
Pracami wieków? zawszeż nieujęcie
Twojej tęczowej myśli w żadne karby?
Zawszeż ci błoto cielesne na wstręcie? —
Gdybyś mógł stopić wszystkie twoje farby
W jednym miłości bożej dyamencie
I zostać chwilę w czystym bezkolorze:
Miałbyś zeń potem wszystkie ognie boże,

Przedlotem ducha światy byś wyminął,
Wiedział o niebie, nim się inny dowie!...
Mrówko! nie będziesz ty przeze mnie słynął,
Ja ci się strzaskam jak piorun na głowie. —
Ja, z którąś dawniej ty jak łabędź płynął,
Kiedyś był nowy i sił nie miał w słowie:
Teraz — gdyś wylał ducha serca krzykiem —
Mam cię, niższego, moim niewolnikiem.

Nie drgaj mi jako struna, co chce pęknąć:
Bo mi nie pękniesz — lecz będziesz jak struna,
Która, gdy rani, to krwią musi zmięknąć — —
Lecz tobie strachu trzeba... Patrz, tam łuna
I księżyc, co chce jak umarły jęknąć:
Taki bolesny!... Tam morze i truna,
Którą prowadzą fal czerwonych nogi —
Patrzaj!... w trumnie ten, co prostował drogi...

Czy widzisz żagli tych trumnianych bicie
W opiekielnione złemi duchy fale?
Bo się na siarkę wy bez fal palicie,

A piekło nie jest w niebie ani w skale,
Lecz jest to duchów do ziemi przybicie
I krzyż — i po ciał władzy gorzkie żale
I czas powrotu do ciał niewiadomy
I czyn, co w piersiach grzmi, jak puste gromy...

Czasem się zbiją i prą całą ścianą
Naturę — a ich oddech mniej tu waży
Niż tego dziecka, co bańkę mydlaną
Uczyni tchnieniem aniołkowej twarzy.
Rozpacz im dano, a skargi nie dano!
W niejednym... wulkan się miłostek żarzy...
Gdyby im kształtów widnych i kolorów:
Wymarlibyście z widzenia upiorów!

Szczęściem, że każdy niby śmierć ponosi,
Gdy wchodzi w ciało — i uczyć się musi
Siły — od ręki, co kamień podnosi,
Bólu — od świecy, co rączkę mu skusi...
Więcej się złego obraca na osi
I siły, która iskrę bożą dusi,
Niźli ty myślisz. — Patrz, czy nie przeraża
W tej zorzy duchów ta trumna mocarza?...

POETA.

To jak kolenda, którą w domu dziada
Słyszałem! Idą pasterze! pasterze!

ATESSA.

Patrzaj! znów jasna na stolicy siada
I od Łotyszów dawny piorun bierze,
A drugi jej grom zdala odpowiada:
To Rzym... to klątwa... to straszne przymierze
Z trupami... łączcie prawice do prawic!
O, ducha teraz, Boże! — i błyskawic!

POETA.

Straszna, milcząca powiedz?... Więcem niemiał
Grzechu, bijąc ten fałsz w Chrystusa słowie,
Co siły Bożej nie pił i nie wzięmiał
I z świątyń pańskich uczynił pustkowie;
A w zmartwychwstania dzień wielki oniemiał
Jak człowiek, co wie prawdę lecz nie powie, —
I tak się chował pod wypadków połę,
Jak chłop, co w piekle myśli wozić smołę?

ATESSA.

Tak jest, zaprawdę, jakeś odmalował;
Błyskawicami bity był gmach dawno:
Dante, Bokacy... i ten, co wychował
Kopernikową sierotę — i sławną
Nogą odpowiedź na wieki wykował,
Głowę schyliwszy przed powagą prawną, —
I wielu innych. Ty co w Kościół wierzysz,
Jak oni bijąc go, — do nich należysz

Od czasu, jako zaprzestał soborów
I gwałt uczynił duchowi w tej przerwie...
Sobory były ze słońc i kolorów
Tam, gdzie najczęściej przy męczeńskiem ścierwie,
Pod szubienicą — z kruków i upiorów
Była girlanda. Teraz wiatr się zerwie,
Który kolumny Kościoła okręci —
Te wszystkie, których nie podparli święci, —

I zniszczy... Oto wielkie rozwidnienie
Ducha rozlewa się. O, Jeruzalem,
Ubrana w żywe błękitu promienie,
Schodzi... a mur jej — perłą, wał — koralem.
Pierwszy duch, który słońce zrobił cieniem
Dla ziemi, a tę dla słońca opalem,

Już urodzony: — chór na ziemi zbiera;
Czuje go kamień i morze i sfera...

Więcem ja dobrze służył słowu Pana,
Kiedym się wzdrygał na tej lutni głosy,
Co jak ptaszyna, lotem zmordowana,
Siada... próbuje siąść na wszystkie kłosy
I znowu pierzcha? — Więc tu jedna ściana
Wiary, na którą tyle jasnej rosy,
Tęczowej — lali malarze, już runie?...
Pozwól mi jeszcze myśleć o tej trunie!...

O, tam są, siostro, Rafaela loże
I te sufity, gdzie...

Biedni są teraz; widzę ich, jak stoją
O swej Ojczyźnie zadumani, w bieli.
O swej Ojczyźnie tylko ziemskiej roją,
A przez nią będą tylko tak lecieli
Jako żórawie, co słońce rozdwoją
Girlandą długą, — i gdzieś w mglistej bieli
Znikają: — dziecko zniknieniem zasmucą,
Ale chłop stary wie, że z wiosną wrócą.

. . . .

TAK MI BOŻE DOPOMÓŻ.

Idea wiary nowa, rozwinięta,
W błyśnieniu jednem zmartwychwstała we mnie,
Cała gotowa do czynu i święta;
Więc niedaremnie! o, nienadaremnie
Snu śmiertelnego porzuciłem łoże:
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Mały ja, biedny — ale serce moje
Może pomieścić ludzi miliony.
Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroje —
I ze mnie piorun mieć będą czerwony,
I z mego szczęścia — do szczęścia podnoże:
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Zato spokojność już mam i mieć będę;
I będę wieczny — jak te, które wskrzeszę —
I będę mocny — jak to, co zdobędę —
I będę szczęsny — jak to, co pocieszę —
I będę stworzon — jak rzecz, którą stworzę:
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Chociaż usłyszę głosy urągania:
Nie dbam, czy wzrastać będą — czy ucichać...
Jest to w godzinie wielkiej zmartwychwstania
Szmer kości, który na cmentarzach słychać;
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę:
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Widzę wchód jeden tylko otworzony
I drogę ducha tylko jednobramną...
Trzymając w górę palec podniesiony,
Idę z przestrogą — kto żyw — pójdzie za mną...
Pójdzie — chociażbym wszedłszy, szedł przez morze:
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę...
Dane zwycięstwo jest nad umarłemi,
Dano jest wskrzeszać tych, co mają wiarę...
Na reszcie trumien — Ja — pieczęć położę:
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Lecz tym, co idą — nie przez czarnoksięstwa,
Ale przez wiarę dam, co sam Bóg daje —
W ich usta włożę komendę zwycięstwa,
W ich oczy — ten wzrok, co zdobywa kraje —
Ten wzrok, któremu nic dotrwać nie może:
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem;
Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk — Ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — Aniołem, co wszystko przemoże:
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Lipca 13. — 1842.

ZACHWYCENIE.

Bo mój Stworzyciel znalazł mię na ziemi
I napadł w nocy ogniami złotemi...

Bo Pan, mówiący w objawieniu: »jestem«,
Napadł mię w ogniach z trzaskiem i szelestem.

Przetoż się, Panie, wiecznie upokorzę,
Pomnąc na ono płomieniste łoże:

Gdy Pan nade mną stał w ognia oponach,
Gdym był jak ptaszek w Pana mego szponach;

Gdy stał nade mną jak ogień straszliwy,
Kiedym się w strachu sądził już nieżywy. —

Dlaczegożbym się, o, Panie, zapierał,
Żem drżał i cały z przestrachu umierał?...

Dlaczegożbym się miał zapierać strachu,
Żem drżał jak listek w Pana mego gmachu?

Takiej bojaźni bym nie doznał, Panie,
Choćbym się dostał pod mieczów ścinanie.

Choćbym czuł w sobie to, co ludzie święci,
Takbym nie stracił wiedzy i pamięci.

Przywalon byłem Twej lekkości skałą,
Serce jak ptaszek zlękniony latało.

Światłem zalały się moje alkierze,
A jam był porwan jako lekkie pierze —

I przez wiatr lekki i przez szelest święty
Byłem pochwycon, a z łoża nie zdjęty.

. . . .

* * *

Los mnie już żaden nie może zatrwożyć,
Jasną do końca mam wybitą drogę;
Ta droga moja: żyć, cierpieć i tworzyć —
To wszystko czynię — a więcej nie mogę.

Dawniej miłością różane godziny
I w zorzach jeszcze jaśniejsze pochodnie;
Dzisiaj, przy schyłku dnia, ważniejsze czyny,
Wielkie i smętne, jak słońce zachodnie.

Na nich się zegar życia zastanowi
I puści ducha-skowronka w otchłanie;
Pomóż-że, Boże, temu skowronkowi —
Niech wesół leci, niech wysoko stanie!

A raczej powiem: gdy się żywot zmierzcha,
Dusza-jaskółka daleko od ziemi;
Pomóż jaskółce, co mi z oczu pierzcha,
Z oczkami w światło rozweselonemi.

* * *

Jest najsmutniejsza godzina na ziemi,
Która na morzu po północy dzwoni:
Kiedy Dyana z oczyma złotemi
Świta mi rankiem i wynika z toni;
W niej smętek — i ci, którzy szerokiemi
Morzami płyną, gdzie je wicher goni,
Półsenni...

Takie uczucie mojemu duchowi
Znane, — bo nieraz przed czystości Panną
Stał, kiedy inni, zorzami różowi,
Świecili gwiazdą na morzu poranną: —
Noc, nachylona ku nowemu dniowi,
Fala, wznosząca na wiatr szybę szklanną...

* * *

Wiesz, Panie, iżem zbiegał świat szeroki,
Szukając jednej prawdy człowiekowi:
Śród tęcz chodziłem skalnych — przez obłoki
I rzekłem: »wola ich nie zastanowi,

Człowiek nie wyrwie piorunu z chmurzycy,
Lecącej niby stadami srebrnemi;
Gwiazd nie zatrzyma — ani z błyskawicy
Miecza ukuje, chcąc być panem ziemi«...

I byłem jeszcze tam, gdzie Ateńczyki
W lasach oliwnych gwarzyli poważnie,
Duchem być sądząc wodę lub płomyki,
A prawdą: przeciw nędzom stać odważnie.

Więc i tam, Panie! pod temi niebiosy
Turkusowemi, kiedym słuchał blady,
Leciały do mnie różne prawdy głosy,
Jak echa od harf umarłej Hellady.

A jednak smętny odszedłem od echa
Partenońskiego, gdzie marmur różany
I gładki — wiecznie z nieba się uśmiecha,
Jak Wenus, w srebrne wracająca piany,

Skąd była wyszła kwiatem. — I tak, Boże!
Słuchałem znowu lecących bocianów,
Które się wlokły girlandą przez morze,
A niosły mi pieśń z mych ojczystych łanów.

Ale i głosy ptaków nic nie rzekły
Rozumieć tworów nieumiejącemu,
Tylko girlandy smętnych jęków wlekły,
Szum skrzydeł dając wiatrowi wielkiemu

A smętek morzu... Lecz teraz, o, Panie!
Radosny jestem i rozweselony,
Przyszedłszy na to natury poznanie,
Które mi staje za skarby i trony,

A z ciebie wyszło...
Niechże nie powiada
Człowiek, że w moich słowach Kościołowi
Jaka nienawiść jest lub jaka zdrada
Albo strach jaki...
bośmy w nim nie nowi,

Bośmy go dawniej, pełni złotej wiary —
Ani krwi nie żałując, ani stali —
Stroili w straszne tureckie sztandary,
A sztandarami w miesiące ubrali;

A miesiącami dzisiaj błyszczy temi,
I tą odwieczną sztandarów purpurą
Błyszczy — jakoby pióry anielskiemi,
Pod Apeninu rozwinięty górą.

O to więc proszę, aby mi na progu
Pozwolił — z mego narodu żebraki —
Usiąść, — a nie siał tam ciernia i głogu,
Gdzie człowiek, zbity niby orzeł jaki,

Piersią upadnie... Proszę, niech już przecie,
Z litości nad swą wiarą wyziębioną,
Pozwoli, że kto czarta w nim rozgniecie
I z błyskawicą się zetrze czerwoną...

Pozwól, że strzegąc krzyżowego znaku
I polskiej wiary i Boga Rodzicy,
Polak aż w kościół wjedzie na rumaku,
Z szablą dobytą nawpół — i w przyłbicy!

Ledwom to wyrzekł, ktoś wykrzyknął: »Roma!
Nie jesteś ty już Panią i Królową,
Boś jest jak szatan cielesny łakoma,
A niższa sercem od ludów i głową«.

Spojrzałem wtenczas, kto w powietrzu gada;
A oto obok jednego grobowca,
Na którym w locie jaskółka osiada —
Tak jest samotny, a biały jak owca —

Na ciemnej tych pól kampańskiej zieleni,
Na którą słońce, gdy bije, to broczy —
I niby dawną, rzymską krwią rumieni
I niby w jakiś sen wtrąca proroczy —:

Ujrzałem mary dwie, — niby młodzieńca
Z dziewicą, cudnej i smukłej urody,
Braniem łącznego zatrudnionych wieńca,
Albo czerpaniem łez źródlanej wody,

Która z fontanny dawnej po Rzymianach
Rzadkie już perły srebrzyste sypała; —
Oboje bowiem byli na kolanach
Przed nią — a ona tu fontanna stała

Płacząca... Rzekłem więc: »Czego szukacie
I czemuście tu klękli przed źródłami?«
Na ten głos obie cudowne postacie
Wyprostowały się, mówiąc: »My sami

Nie wiemy, czemu u źródeł tej wody
Schylamy kolan, nie mając ni dzbanka,
Ani potrzeby picia i ochłody,
Ani trzód, jako gdzieś Samarytanka«.

Na to im rzekłem: »Wiem, czego szukacie
I czego chcecie od źródeł«. — A oni:

»Od źródeł, które są w powojów szacie,
Piękności tylko żądamy i woni«.

»O, biedni! — rzekłem — piękność, woń i świéca
Jest w duchu... a wy na zewnątrz wyciekli,
Jak rozwiązana w chmurze błyskawica«...

DO LUDWIKI BOBRÓWNY.

Gdy na Ojczyznę spojrzą oczy Lolki,
Karmione złotem i tęczową czczością:
Niechajże spojrzą tak, jak oczy Polki,
Spokojnie — ale z ogniem i miłością.

Kiedy je patrzeć na smutek przymuszą
I na lud, który gdzieś w łańcuchach pędzą:
Niechaj te oczy łzami się zaprószą —
Lecz niech się nigdy nie zamkną przed nędzą.

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,
A ludzie będą chciwie w nie patrzali:
Niech oczy całe pokażą niebiosa
Aż do błękitu dusz i jeszcze dalej.

A kiedy przyjdą porwać naród z trumny
I rzucić w ogień tych, co skry się boją:
Niech w oczach będą takie dwie kolumny,
Jak ognie, które na wulkanie stoją.

Wtenczas ja powiem srodze rozkochany
I nawet w rymy to zamknę królewskie:
Że choć widziałem w oczach cztery zmiany,
Prawdziwie Lolka ma oczy niebieskie.

W PAMIĘTNIKU ZOFII BOBRÓWNY.

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poematy składać.
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
I dalej mię los nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba:
Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

DO PASTERECZKI, SIEDZĄCEJ NA DRUIDÓW KAMIENIACH W PORNIC, NAD OCEANEM.

Jak ty mi jesteś wdzięczna,
Duszeczko moja mała!
Słoneczna i miesięczna,
Prawie bez krwi i ciała:
Gdyś wysoko siadała,
Z główką w zorzy pierścieniach,
Na Druidów kamieniach,
Śród jałowcowych krzaków;
Ćwieki twoich chodaków
Błyskały mi na lice
Jako dwa półksiężyce
Czerwoną zorzą ranną.
Ty byłaś mi zarazem
Chłopeczką i Dyanną,
Zjawieniem i obrazem,
Kochanką i dziecięciem —
Smutkiem — i wniebowzięciem...

Włoski twoje, jak zboże
Złote i przeźroczyste,
Wiatr unosił na morze;
A we włoskach ogniste
Ranunkuły z doliny,
Jak maki Ukrainy,
Zdawały się ogniami,
Które tobie do lica
Przypięła upiorzyca,
Śpiąca w grobie — pod nami...

Za tobą — szafir mórz
Dzielił kibić na dwoje;

Nad głową — jak zawoje
Jutrzenki pełne róż — —
I chwasty w dyamentach
Około ciebie skrzyły,
A ty na monumentach:
Stróżka i duch mogiły,
Z niewinnością na licach,
Z nóżkami na księżycach...

*   *   *

Kiedy się w niebie gdzieś zejdziemy sami,
Naprzód Cię spytam, czy jesteś bogata?
Bo ci w westchnieniach oddawałem lata,
A ty płaciłaś je pocałunkami; —

A dzisiaj temi ty pewno latami
Kupujesz sobie wieczność na błękicie:
Bo w Twoje życie weszło moje życie
I najpiękniejsze sny pomiędzy snami...

Ale ty, jasna, błękitna królowa,
To tylko musisz znosić w słońcu ducha,
Że wszędy w Tobie dźwięczy pamięć słowa:

A w słowie Twój duch na błękitach słucha,
W słowie jest jego piosenka i skrucha
I niby ziemskiej przeszłości połowa.

CÓRKA CERERY.

I.

Przez miedzę — która podobna do szlaków
Różnych kolorów — między złotym kłosem
Tyś szła, owieczka — białością i losem
Podobna owcy — śród kłosów i maków.

Wtem Pluton, ogniem wylatując z krzaków,
Porwał cię w ręce i uniósł do piekła,
Córko Cerery — a tyś nic nie rzekła:
Weselił cię gwałt i wrzask nocnych ptaków.

Jakaż cię teraz cudotwórcza siła
Porwie i znowu cudownie przemieni
W córkę świecącą kłosów i promieni:

Kiedyś ty piekłu jak miesiąc świeciła
I tam, gdzie ludzie jadem są żywieni,
Tyś nie umarła — lecz jadła i żyła?

II.

A ona bywało
Głowę mi piękną położy na ramię
I mówi: »słyszę piosnkę doskonałą...«
Ja patrzę w oczy — i wiem, że nie kłamie,
W promiennych oczach bowiem światło grało,
Słoneczne jakieś, piękne było znamię.

Patrząc w twe oczy i w księgę twych losów,
Pojąłem, czemu Pluton niegdyś chwycił
I żądze swoje ogniste nasycił
Córką Cerery — onej bożki kłosów —
Wieńczoną makiem: ludy cię połosów
Królową swoją piekielną uczuły,
Płacz cię nie zabił — jady nie otruły,
Ogień się nie jął twoich zimnych włosów.

Pluton cię kochał, boś mu w dom książęcy
Zarażającej miłości nie wniosła,
A nad ogień go nie kochałaś więcej...
Więc ci zaufał i użył za posła,
A matce oddał cię na sześć miesięcy,
Abyś piekielne w domu jajo zniosła.

* * *

. . . . gdzie światła gorą,
[Dziwi] mnie uczta, gdzie wino piją,
[Dziwią] mnie serca, co serc nie biorą,
Dziwią mnie żywi, że jeszcze żyją:
Gdy tyle nieszczęść i zbrodni tyle
Polskę trzymają w głuchej mogile.

Czemuż nie mogę jak trup z wezgłowia
Powstać i głową ruszyć potężną —
Jako trup powstać i piciem zdrowia
Z grobu poruszyć Polskę orężną?...

* * *

Jak dawniej — oto stoję na ruinach
Dawnego miasta... zorze wschodzą ranne,
Ptaszęta małe śpiewają w leszczynach,
Niebiosa blade — przejrzyste — jak szklanne;
Kilka łabędzich chmur na wschodzie świeci
I czerwienieje i zognia się w zorzy,
Wróżąc, skąd słońce wstające wyleci:
Wszystko spokojne — Bóg serca nie trwoży
Nawet w ptaszętach...
Któżby rzekł, o, Boże!
Że tak cudownie dzień zapowiedziany
Jutrzenki różą — ma być o wieczorze
Dniem ostatecznej na globie przemiany?
Że te — o, gwiazdy takie migające,
Te piękne perły błękitne i kwiaty
Będą?... Ale nie — ja myślą nie trącę
O te ogromne duchów majestaty:
Godzina moja jeszcze nie wybiła...

* * *

Kiedy pierwsze kury Panu śpiewają:
Ja się budzę — i wzrok do gwiazd niosę;
Kiedy kwiatki w rosie czoła maczają:
Ja ożywam, Pańską pijąc rosę;
Cherubiny wtenczas rzędem stają
I puklerze z ognia złotowłose
Przeciw duchom złym mają zwrócone —
Płaszcze, tarcze, jak żelaza czerwone.

Pan mię wtenczas na rannem świtaniu
Za blademi gdzieś słucha niebiosy;
Serce moje się roztapia w śpiewaniu,
Sny ostatnie przechodzą przez włosy...

* * *

Młodości! uwierz w sny czyste i złote,
Które nad formy wylatują stare,
A masz broń pewną na świata ciemnotę,
Masz we snach twoich już stworzoną wiarę.

* * *

Najpiękniejszy, najświętszy Boga tron na ziemi —
Na który Pan Bóg nieraz kilka wieków czeka —
Jest to duch ogromnego wieszcza i człowieka:
Wiatrak niby — ze skrzydły jasno słonecznemi,
Ciągle porywający świat kamienny w górę.

* * *

Gdy noc głęboka wszystko uśpi i oniemi,
Ja — ku niebu podniósłszy ducha i słuchanie,
Z rękami wzniesionemi na słońca spotkanie
Lecę — bym był oświecon ogniami złotemi.

Pode mną noc i smutek albo sen na ziemi:
A tam już gdzieś nad Polską świeci zorzy pręga
I chłopek swoje woły do pługa zaprzęga,
Modli się. — Ja się modlę z niemi i nad niemi.

Tysiące gwiazd nade mną na błękitach świeci;
Czasem ta, w której oczy głęboko utopię,
Zerwie się i do Polski jak anioł poleci:

Wtenczas we mnie ta wiara, co w litewskim chłopie,
Że modlitwa w niebiosach tak jak anioł kopie,
A czasem ziarno ducha wrzuci i zanieci.

* * *

Jeżeli kiedy w tej mojej krainie,
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szmernym potokiem —
Gdzie konwaliją woniące lewady
Biegną na skały, pod chaty i sady;

Jeśli tam będziesz duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała wrócona:
To nie zapomnisz tej mojej tęsknoty,
Która tam stoi jak archanioł złoty,
A czasem miasto jak orzeł obleci
I znów na skałach spoczywa i świeci...

Powietrze lżejsze, które cię uzdrowi,
Lałem z mej piersi mojemu krajowi...

* * *

Dajcie mi tylko jedną ziemi milę! —
Może, o bracia, zawiele zachciałem? —
Dajcie mi jedną bryłę, na tej bryle
Jednego — duchem wolnego i ciałem:
A ja wnet z siebie sprawię i pokażę,
Że taki posąg dwie będzie miał twarze.

Dajcie mi gwiazdę, mniejszą od miesiąca,
Kometę, złotym wiejącą szwadronem —
Niechaj po lasach będzie latająca,
A tylko święta jednym polskim zgonem:
A ja wnet siły dobędę nieznane,
Skrzydła wyrzucę — i wnet na niej stanę...

O, bracia moi! kiedy krzyżem leżę,
A proszę Boga o kraj, o człowieka:
To mi się zdaje, że tentnią rycerze,
A wróg z piorunem przed nimi ucieka...
Chcę biedz — lecz kiedy na blask gwiazd wynidę,
Gwiazdy mnie drwiące pytają, gdzie idę?

O, gwiazdy zimne, o, świata szatany!
Wasze mnie wreszcie niedowiarstwo zwali...
Już prawie jestem człowiek obłąkany:
Ciągle powiadam, że kraj się już pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje, —
A to się pali tylko serce moje!...

* * *

Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu,
Napróżno człowiek swe głosy natęża:
Choćby miał siłę i odwagę męża,
Z niemiłowania umrze tak jak z głodu.

Próżno na ręce rękawice kładnie
I jako szermierz wystąpi zapaśnie:
Lica mu wyschną i oko zagaśnie,
Sprzepaści się pierś i głos w nią zapadnie.

Ale komu ty twoje namaszczenie
Włożysz na czoło — ten bez żadnej pracy
W powietrzu twojem jak powietrzni ptacy
Pływa, a święte karmią go promienie.

* * *

Krzyczeli: »Polska! Polska!«... lecz jednego razu
Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Bóg im prawo krzyku przyzna,
Szli i krzyczeli jeszcze: »Ojczyzna! Ojczyzna!«
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka —
I przeraził je wszystkie, zapytawszy: »Jaka?«

A drugi człowiek — niby w żebraka postaci —
Pomyślał, że mu trzeba w duchu wolnych braci,
I wolności mu trzeba w milionów osobie;
Ziemię bowiem pod sobą ma i Boga w sobie:
A Pan w nim jako ogień — i już nie nad krzakiem
Zagrzmiał:
»Prosisz się, widzę, być dawnym Polakiem!«

*
*   *

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną,
To składek zbierać nie będą narody,
Lecz ogłupieją — i na pieśń strzelaną
Wytężą uszy, odemkną gospody.

I będą wieści z wichrami wchodziły,
A każda będzie serce ludów pasła:
Nieznajomemi świat poruszą siły
Na nieznajome jakieś wielkie hasła.

Nie pojmie Francuz, co to w świecie znaczy,
Że jakiś naród wstał w ciemności dymie, —
Choć tak rozpaczny — nie w imię rozpaczy,
Choć taki mściwy — a nie w zemsty imię;

Nie pojmie, jaką duch odbył robotę
W przeświętej serca ludzkiego ciemnicy, —
I przez sztandary jest tłuczony złote,
I przez bój wielki przy dział błyskawicy.

Cóż to — zapyta — są za bezimieńce,
Którzy na dawnym wstali mogilniku?
Bój tylko widać i ogniste wieńce,
A zwierzęcego nic nie słychać krzyku!

Nie, to nie ludzie z ciał i z krwi być muszą,
Lecz jacyś pewnie upiorni rycerze,
Którzy za duszę walczą tylko duszą
I ogniem biją niebieskim w pancerze.

USPOKOJENIE.

Co nam zdrady! — Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne żórawie,
Spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka:
Taka, zda się, odludna i taka wysoka!
Za tą kolumną, we mgły tęczowe ubrana,
Stoi trójca świecących wież świętego Jana;
Dalej ciemna ulica, a z niej jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinej Miasto Stare;
A dalej jeszcze, we mgle, która tam się mroczy,
Szkła okien — jak zielone Kilińskiego oczy,
Czasami uderzone płomieniem latarni,
Niby oczy cichego upiora z pod darni.

Więc lada dzień, a nędza sprężyny dociśnie:
To naprzód tam na rynku para oczu błyśnie
I spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę;
A potem się poruszą wszystkie kamienice,
A za kamienicami — przez niebios otchłanie
Przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie;
A za zorzą wiatr, dziwne miotający blaski,
Porwie te wszystkie zemsty i te wrzystkie wrzaski: —
Wicher jakiś, z aniołów urobiony Pańskich,
Oderwany jak skrzydło z widzeń Świętojańskich,
Przezroczysty jak brylant, a jak ogień złoty, —
Który chwyci te zemsty, te światła, te grzmoty,
Zwinie — i niemi ciemną uliczkę zalęże,
Jako bronz w niej zakipi, zaświszcze jak węże
I naprze tak, że będzie trzęsąca się cała
Jako wół sycylijski na miasto ryczała.

Usłyszycie wy wtenczas, serc naszych złodzieje!
Jaki wiatr z tej ulicy na miasto powieje:
Przez harmonikę tonów swój krzyk przeprowadzi,
O kościół katedralny skrzydłami zawadzi,

Porwie królewski zamek, otworzy jak trumnę,
A potem na Zygmunta uderzy kolumnę
I z marmuru wyciągnie jakieś echo skalne,
Jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne,
Które ja dziś już chwytam myślą na pół senną,
Słysząc ten wiatr—i strunę pod wiatrem kamienną.

Więc kiedy kościół zadrży od stóp aż do skroni
I płaczącym się głosem na miasto rozdzwoni;
Więc kiedy ta kolumna w pomroku miesiąca
Zostanie gdzieś na placach, jak harfa grająca...
To wtedy co? — Krzyk jeden jak burza ponura:
Nie wiem: »Niech żyje Polska!«
czyli też krzyk »hurra!«
Wyleci, jak koń śmierci zerwany z wędzidła,
O katedralny kościół otrze głośne skrzydła...
A miasto co? — Słuchając z wyciągniętą szyją,
Powie: że tam się ciemni aniołowie biją;
Że tam szatan, ogniste przywoławszy moce,
Koń swój bronzowy ciska i piorun gruchoce;
Że jako Machabeusz pod zwalonym słoniem,
Tak szewcy pod piorunem padają i koniem
Zgruchotani; że księżyc na niebie odkryty,
Pokaże tę ulicę pustą — lud wybity —
Piorun zagasły — walkę okropną skończoną —
Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...

Więc kiedy miasto całe przestrachem ogłuchnie,
To znowu ta ulica jednym wiatrem buchnie,
Jednym krzykiem . . . .
A potem co? — Stojący uliczce na strychu,
Kościół się katedralny odezwie po cichu:
Walkę i krzyk, różnymi wiejący głosami,
Jak organ rzuci miastu — głucho — akordami —
Coraz głośniej — — i całą tę harmonią senną
Roztrąci o kolumnę, tę strunę kamienną...

Wtem znów jeden z tych wrzasków,
od których natura
Wzdryga się, jeden »vivat« uliczny i »hurra!« —
Jeden z tych krzyków, które czynią, że skrzydlata
Natura ducha w kościach tak jak ptaszek lata,
Że duch na ustach staje i już nie jest zdolny
Zatrzymać śmiech serdeczny i płacz mimowolny;
Jeden z tych krzyków, który, wnikając w człowieka,
Tak śpiewa w nim jak anioł, a jak szatan szczeka;
Jeden z tych krzyków... szumem błyskawic nawalnym
Uderzy — na kościele pęknie katedralnym,
Pójdzie mimo — lecz skrzydłem o kościół otarty,
Kamienie w nim wrzeszczące zostawi jak czarty —
I wiele innych głosów, które zmartwychwstanie
Zapieją, jak anioły związane w organie.

I jeszcze ta harmonia nie zamilkła senna,
A już kolumna placu — ta struna kamienna —
Tym samym wichrem bita, z rozwahanem czołem
Prym wzięła przed chóralnie jęczącym kościołem: —
I dwa te śpiewy, już bez odpoczynku,
Będą miastu ogłaszać lud, idący z rynku. —

Jeśliż ma ta ulica taką ciasną szyję,
Że z niej — by słowo wyszło — to jak działo bije;
Jeśliż na każdą formę naszego uczynku
Tak srogo ona patrzy oczyma aż z rynku;
Jeśliż lada noc, a z niej wystrzeli powstanie
I w proch tego rozrzuci, kto na rychcie stanie;
Jeśliż jest taka mocna, że skróś nocy cieni
Muzykę ciemną strachu wyrzuca z kamieni,
A kolumny na swoje muzykanty stroi: —
To człowiek, który zawsze o zdradę się boi
I wszędzie widzi tylko postrachu upiory:
Albo dzieckiem być musi, lub na serce chory.

* * *

Jeżeli ci Pan nie zbuduje domu,
Próżno składają ci cegły mularze;
Jeśli nie broni miasta od pogromu,
Próżno czuwają po szyldwachach straże.

Napróżno wstajesz przed świtem, człowiecze,
A przy świeczniku nad robotą ślęczysz:
Z gorzkiego żyta chleb ci się upiecze,
Bo ty, o, Panie! te, co kochasz, wieńczysz!

Zaprawdę, niema hojniejszej nagrody
Nad narodzone w domu twoim plemie,
Nad syny, które mąż i człowiek młody
Jak winne grona wyprowadza z ziemie.

Synowie jego powadze przystoją,
Potęgę mnożą, miłość k'niemu niecą,
W kołczanie jako złote strzały stoją,
W poselstwa jako złote strzały lecą.

A kiedy takich strzał mnóstwo w kołczanie
Pan mu dozwoli mieć — ubranych w ciało:
Przeciw wrogowi swemu śmiało stanie,
Odepchnie napaść i powróci z chwałą.

[Psalm CXXVII].

* * *

Mój król, mój Pan — to nie mocarz żadny,
Ni ten, na którym trzy koron się piętrzy:
Ale duch pierwszy globu — światowładny,
Chociażby w chłopku — duch świata najświętszy.
Czy on na świecie żyw, czy gdzie nad światem? —
Wiem, że duch taki jest — i dość mi na tem.

Skądkolwiek jego duch na mnie uderzy,
Gdziekolwiek jego wołanie usłyszę,
— Czy to zjawi się w siermiążce pasterzy,
Czy jeszcze w żłobku matka go kołysze —
Gdziekolwiek ono dziecko światowładne:
Poczuję, klęknę i na twarz upadnę.

* * *

Ty głos cierpiący podnieś — i niech w tobie
Krzyknie i naraz poważnie zaśpiewa
Wszystko, co naród sądził, że śpi w grobie,
Albo się ze krwią ludzką w krew przelewa:
Bo nie ten, który z rdzy pancerz oskrobie,
Albo w mogiły dawnej zajrzy trzewa,
A prochom dawny spoczynek naruszy,
Wiek pomknie — lecz ten, kto się dotknie duszy.

Mów, otwórz drogi Świętemu Duchowi,
Mów, a do niebios bożych pokaż wrota!
Cały się naród z ducha niech wysłowi,
Cały o przyszłość niech się zakłopota;
Niech dusze kładą za siebie, aż nowi
Obaczą się tu — jaśni — jak z pod młota
Hamerni złoto wychodzi świecące: —
Jagnięta pańskie na słonecznej łące...

Stój! stój! — gdy przyjdzie w powietrzu ów święty,
Wróci raj, naszą utracony winą;
Liczyć zaczniemy rok nowo zaczęty
Z Panem w jasnościach; pieśni nawet miną,
Poganie ducha pójdą ze zwierzęty
Otaczać obóz ducha, lecz poginą:
Światłość je miasta świętego uderzy,
Odejmie im głos, wzrost grobami zmierzy.

Nie mów! — leniwych duchów nie budź rzeszy,
Bobyś obudził ogień nienawiści;
Kto grzeszny teraz, niechaj jeszcze grzeszy,
A kto jest czysty, niech się jeszcze czyści.
Czas blizki, który święte z nas pocieszy,
A złymi pogna, jak wiatr chmurą liści:
I będą się, jak zwiędły liść, sypali,
W czarne jeziora, ktore duch zapali.

Biada tym, które koniec znajdzie świata,
Że jeszcze ciała takie, jak my, noszą;
Biada tym, które raz przez ogień kata
Dla prawdy bożej nie przeszły z rozkoszą;
Biada tym, którzy chcą jednego lata
Owoców — a o męczeństwo nie proszą,
A o dar ducha do nieba kołacą
Jak ty, nie wziąwszy go czynem i pracą!

* * *

Na drzewie zawisł wąż —
I rzekł szatan do Ewy:
»Patrz, pod ciemnemi drzewy
We śnie leży twój mąż.

Jemu mówił Jehowa
Tajemnicę stworzenia
Ze świata i z promienia,
Z miłości i ze słowa.

Ja ci dam tajemnicę
Duchów, Jehowy sług:
Że duch w Trójcy — to Bóg,
Słowo — trzy błyskawice.

Zwycięż na ziemi zgon,
Rozwesel cały Eden;
Ja w was dwóch będę jeden,
A we mnie ty i on.

Zdołaj duchy spłomienić;
Spokojny ciała dom
Chwilę zamienić w grom,
Trójcę w jedność zamienić!

Sama ogniami stlej,
A gdy się mąż zamroczy,
Patrz mu ogniście w oczy,
Usta z ustami zlej!

Szepcąc do ucha wciąż,
Czyń bez żalu i skruchy:
Ty i on — to dwa duchy,
Z wami trzeci ja, wąż.

Jeśli masz ognia mało,
To ściągnij oto dłoni
Po owoc tej jabłoni;
Jej duchem podkarm ciało

Ty będziesz świata panią!..«
Lecz już z jabłkiem od drzewa
Biegła w płomieniach Ewa,
A szatan poszedł za nią...

Oto z ziemią się stało,
Co z gwiazdy trapionemi:
Promienność poszła z ziemi,
A duch węża wziął ciało.

* * *

— Narodzie mój!
Coś widział miecz,
Na niebie ciemnem świecący:

Powrócę ja —
Patrz! Furya zła —
Przyjdę jak płomień gorący;

Wezmę wichrzyce
I na stolicę
Wpadnę i dachy pozrywam;

W rzeki się rzucę,
W krew je obrócę,
W domy zlęknione powpływam;

Przez nocne cienie,
Tak jak płomienie,
Pójdę, a wam wzroki wypalę;

Przez błyskawice
Mocarze chwycę,
Nagie postawię na skale...

— »Przepuść jeszcze ludowi!
On sędzie postanowi
I proroki swe boskie wybierze.

Oto leżą, jak snopki,
Błękitne twoje chłopki
I baranków duchowi pasterze.

Przez błękitne niebiosy
Rozwiń słoneczne włosy;
Nie trwóż biednych — patrz — jęczą znędzniali:

Tysiąc lat w gwiazdę Twoją
Idą, a w miejscu stoją,
A tak drżą, jak gdyby po fali«.

— A jakiż to lud,
Który broni swych trzód?
Jak przewinił, że nie pomógł żadnemu! —

Jeżeli mieczem władnie,
A stoi — to upadnie
I blaskowi się pokłoni złotemu.

Obnażę jego wstyd
Z pod sztandarów i kit
Oberwanych, twarz jego zawstydzę:

Bo on sam sobie płacił,
Z chwał się swoich zbogacił,
Kwiat swój wydał na ludu łodydze.

— »Duchu, na mały czas —
Proszę — pozostaw nas,
Pozwól dożyć spokojnie starości!

Właśnieśmy, jak anieli,
Wytrzeźwieli — dojrzeli
Krajów naszych cudownej piękności.

Promień nowej oświaty
Na tureckie makaty
W nasze ciemne uderzył alkowy;

Od stepów przyszły szumy
Wiatrów, smętki — i dumy, —
A od Litwy szum drugi sosnowy.

Ziemi wrócona siła
Oto nas upowiła
I wonnymi oblała balsamy.

Świat snem — snu ziemia łożem —
Ze snu powstać nie możem,
Ale z łoża do Boga wołamy«.

DO FRANCISZKA SZEMIOTHA.

Nie zapominaj, że niegdyś ubogi
Twój przodek, włosy zarosły długiemi,
Miał swoją puszczę i miał swoje bogi
I swoich duchów opiekę na ziemi.

A kiedy mówił pacierz tajemniczy
I o potomstwo wielkie prosił ducha:
To krzyczał z piersi — tak jak morze krzyczy,
A Bóg go słuchał — tak jak morze słucha.

Dziś, z jego domu rozwalonej ściany
Na krąg kamieni gdyś trafił w młodości,
Ciekawy byłeś, lecz nie zapłakany:
Nie ducha jego ciekawy — lecz kości.

Dziś, gdy cię ręka prześladowcza losu
Nad morza wiedzie, a tajemnic uczy:
W żywiołach — przodków ty nie słyszysz głosu,
Nie po litewsku tobie bałwan huczy.

Duchy twe jednak wodzą cię na pasku
I niańczą — i dziś to sprawiły rano,
Żem kląkł przed tobą i pisał na piasku
Te rzeczy, które już w puszczy wiedziano.

Pamiętaj ten dzień, gdy cię duch gołębi
Ostrzegał, własnych zapomniawszy krzyży;
Bo wkrótce w piasku tym ja jeszcze głębiej
Będę — i u nóg ludzkich jeszcze niżej...

Ale ci wtenczas tęsknota nakaże
Po mego ducha iść w duchów krainę,
Aż — odświeconych myśli moich twarze
Ujrzysz, i piasek ten i tę godzinę.

Dieppe, w niedzielę 1846. 23 sierpnia, w dzień moich imienin.

* * *

Snycerz był zatrudniony Dyany lepieniem:
Stała już czysta, cała miesięcznym promieniem
Świecąca z oczu; brakło już tylko na głowie
Położyć srebrną, jasną skrę — księżyca nowie.
Wtem do snycerni przyszedł człek, co wszędy biega
Tak, że doń zawsze błoto uliczne przylega.
Chodził, patrzał, trząsł sobą i błotem i światem;
Sam z gliny — więc posągów wnet się nazwał bratem,
Ojcem snycerza, który przed statuą ukutą
Stał cicho — oczy w ziemię spuściwszy i dłuto.
Już się mieli pożegnać, gdy snycerz, zajęty
Statuy skończeniem, marząc owe dyamenty
I półkręgi srebrzyste, miesięczne, różowe,
Które będą wieńczyły posągowi głowę,
A nie widząc, skądby miał w szaleństwie zapału
Na stworzenie miesiąca dostać materyału: —
Nagle, z wielką pokorą wielkiego człowieka,
Ujrzał na ziemi błoto, odpadłe od ćwieka
I od podkówki gościa, na ziemi leżące,
(Zwykłe po błotnych ludzi śladach półmiesiące).
To snycerz wziął — i z wielką położył pokorą
Tam, gdzie nad posągami zwykle gwiazdy gorą,
Albo przez lat tysiące, w kamień duszą wlany,
Płomyk się geniuszu podnosi różany.
Zaledwo to uczynił, aż błotna istota
W gościu zaczęła krzyczeć o tę kradzież błota;
I pełny krwi na twarzy — w oczach błyskawicy,
Wrzeszczał ów gość: »Ja błoto przyniosłem z ulicy,
Jam przyniósł i wydeptał i miesiącem zrobił,
A tyś skradł, abyś siebie u ludzi ozdobił
I zarobił majątek u polskich szlachciców
Tajemnicą, jaką mam, lepienia księżyców!
Więc nie tylko, żeś plagiat popełnił haniebny,
Ale mnie w dom przyjmujesz, boć jestem potrzebny,

Bo twych posągów czoła byłyby bez wieńca,
Bez piękności«...
— To słysząc snycerz, bez rumieńca
Na twarzy, wobec gościa, który się szamotał
Po snycerni, — ciął młotem w posąg i zdruzgotał.

* * *

Bo to jest wieszcza najjaśniejsza chwała,
Że w posąg mieni nawet pożegnanie:
Ta kartka wieki tu będzie płakała
I łez jej stanie.

Kiedy w daleką odjeżdżasz krainę,
Ja kończę moje na ziemi wygnanie,
Ale samotny, — ale łzami płynę
I to pisanie...

ODPOWIEDŹ
NA »PSALMY PRZYSZŁOŚCI«

Podług Ciebie, mój szlachcicu,
Cnotą naszą — znieść niewolę.
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot ducha na księżycu.
Głosem dziecka wołasz: czynu! —
Czynu! — czynu naród czeka:
Lecz ty wiesz, bez ducha gminu
Jaka słaba pierś człowieka...
A ty, który budzisz czyn,
Gdy spojrzałeś w ludu oczy,
Rzekłeś, że z nich rzeź wyskoczy!
A kto inny jest — niż gmin?

Nie tak, nie tak, mój szlachetny!...
Bo czyn ludu — nie piosenka,
To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród imieniem świetny,
To nie pieśni próżny twór,
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot Ikara,
Gdzie zasługą — upaść z chmur!
To nie na słońc, gwiazd granicy
Z kochankami — mdlejąc — latać,
Włosy splatać i rozplatać,
Tchnienie tracić w błyskawicy: —
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną;
W drogę, choćby niepowrotną,
Ale prostą — naprzód twarzą!
Z piersią czystą, choć samotną,

Choć ją sztyletami rażą;
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową — choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem:
Takim Duchem i sztandarem
Być na ziemi — jest być w niebie.

Jam spróbował na mej głowie,
Nakształt gwiazdy kałakuckiej,
Nosić gwiazdę myśli ludzkiej
I z tą gwiazdą żyć surowie: —
I przybiegli Aniołowie —
Aniołowie Betleemscy —,
A odbiegli ludzie ziemscy
I drzwi moje pożegnali —
I przeklęli... me domowe
Duchy — serce — moją głowę —
Każdy włos poprzeklinali...
A jam przecie, bez ich wiedzy
I bez serc ludzkiego ciepła,
Czuł, że w żyłach krew nie krzepła;
Ani na rozstajnej miedzy, —
Która świat od Boga dzieli,
A do przyszłych idzie światów, —
Rosło mniej tęczowych kwiatów,
Choć suszyli ją i klęli.
I dlatego, żem się umiał
Pohamować — być nad zgraję,
Wichr przeleciał i wyszumiał
I legł martwy... a ja wstaję;
Bo Ojczyznę mą w łańcuchu
Widząc, miałem tę pokorę,
Żem żadnego nie klął ruchu...
Czuł gorących — bo sam gorę, —
Modlił się o czasy nowe
I o wrogów mych zwycięstwo,

Choć groziło mi męczeństwo
I w sąd... mogło pójść o głowę. —
Bo ty nie myśl, że z Anioły
Tylko Boża myśl nadchodzi:
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły!...

A ty — Jasny jakiś Panie! —
Bo cię nie znam, ale słyszę,
Słysząc twoje wierszowanie,
Że ktoś jak perłami pisze,
Że ktoś nakształt się proroka
Stawia ludziom — ale modny; —
Jak historyk świata — chłodny,
Obejrzawszy glob z wysoka,
Wieszcze rymy, jako cugi,
Posłał na świat równym kłusem
I napełnił wóz Chrystusem,
Jak Owidyusz Faetonem,
I rozesłał swoje sługi
Swe kolory czcić pokłonem.

Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa!
Bo są światu, jak zjawiska,
Jako jutrznia są różowa;
Jak ogniste meteory
Stopom ludu podścielona...
By gościńce Irydyona
Pielgrzymowi — który od nich
Bierze ogień i kolory,
Gdy już gwiazd dochodzi wschodnich...

Taką była dawniej dana
Poetyczna karm dla ludu:
O b j a w i e n i e, pełne cudu...
M y ś l — jak mara niespodziana,
Z piersi naszej wychodziła,

Nakształt gwiazdy lub miesiąca,
Narodowi dźwiękiem miła,
Ludu sen wspominająca;
To jak słońce, w półobłoku
Oczom wschodziła i rosła,
To jak róża na potoku,
Albo lekki Sylf bez wiosła;
Jakaś siła niewidzialna,
Przez poetę na świat lana:
Wolna — jako Anioł Pana,
Silna — jako skra zapalna!

Dziś co? — Każdy wieszcz z rozkazem;
Każdy patron... lecz za sobą!
Nie z promieniem — lecz z wyrazem,
Nie duch-duchem — lecz osobą....
Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala;
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki Boże;
Do zbolałych serc nie wnika,
Gromu ludu niema w dłoni —
Ale w uszy formą dzwoni,
Albo dzwoni — albo syka!
Jego dźwiękiem, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka,
Nie pomyśli jego głową,
Skier nie weźmie z jego oka;
Tylko nędzne ujrzy płachty,
Zamiast wieszcza — sztandar jego
I krzyk: — *Na Boga żywego!*
Ty — kto jesteś? Nie rżnij szlachty!!...

Któż i gdzie zagroził nożem?...
Któż i gdzie ci stanął sporem? —
Możeś spotkał się z upiorem:

Z całem dawnem Zaporożem?
Możeś widział pochód głuchy —
Krzyki krwawe i namiętne —
I księżyce nad krwią smętne —
I sokoły w mgle jak duchy?
Może tobie zastąpiły
W poprzek twojej sennej stecki
Same tylko ich mogiły?...
A tyś zląkł się? — wódz szlachecki!!...

Może tylko, w noc półjasną,
Upiór jaki nadlatywał,
Strzały sobie z ran wyrywał
I mgły — krwią czerwienił własną;
Hełm rozpalił w błyskawicę,
Miecz potrząsał purpurowy, —
A okropne cztery głowy —
Jako perły zausznice —
Z twarzą nieznajomych plemion,
Niby róże — niósł u strzemion?...
A ty zaraz — w ręku kord!
— W kosach przed nim cała wieś!
Duch ten, krzyczysz, jest to Rzeź!
Duch ten — to czerwony Mord!...
Nie mord, nie rzeź: — to z girlandy,
Co leciała ponad Lidą,
Jakiś sługa dziewki Wandy,
Jakiś złoty husarz z dzidą —
Jakiś krzyża kapłan świecki,
Z tęczy widzeń oderwany,
Znów powracał na kurhany...
— A tyś zląkł się? — syn szlachecki!!

Duchy lecą i nie giną...
Czasem pełne snów czerwonych:
Czy ty jeden z przestraszonych
Ręką rzezi — gilotyną?

Skądże w tobie taka trwoga
I od ludu rów i przedział?
Prawdę mówisz?... Nie, na Boga,
Wiem, żeś prawdy nie powiedział!
Tylko jakieś sny czerwone,
Zaludnione czartów gminem,
Twych firanek karmazynem
Owionięte, osłonione,
Jak róż jasne, jak sen płone, —
Pełne, mówię, mar szkaradnych,
Bez słońc, bez gwiazd — kwiatów żadnych —
Przestraszyły cię, żeś krzyknął:
Stójmy tak, na Ojców kości! —
I twój anioł — już w przyszłości
Zabłyśniony — jak sen zniknął.

Jeszcze co? — ani zamachu...
Naród cały hasła czeka...
A krzyk pierwszy z ust człowieka
Był krzyk: stójmy! był krzyk strachu!...
Bo to sen na końcu pieśni,
Że magnaty kiedyś staną
Z wielką tęczą chorągwianą,
Otrząśnięci z wieków pleśni,
Z wielką myślą w sercu — w głowie —
Chatom — niby Aniołowie...
I bunt święty rozpłomienią —
I świat cały od nich zgore...
W tych magnatach serce chore:
Wąż im sercem, a proch rdzenią!...

Kiedyś ze sto was tysięcy
Było szlachty: z serc i z lica...
Dziś — jednegom znał szlachcica —
I kraj cały nie znał więcej...
Jeden tylko serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,

Wielkim — cichym — dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś nieszczęść sławą
Był szlachcicem — i miał prawo...
Dziś i ten nie został z wami
I godności swej nie trzyma...
Poszedł gnić między królami:
Już go niema — i was niéma!

Nie myśl, że wszystko na naszej łące
Smutnieje, więdnie, zachodzi nocą;
Że nietoperze ociemniające
W powietrzu cicho skrzydły łopocą:
Gdzie znajdą lampę — skrzydły zaduszą,
Gdzie znajdą ciepłą, polską krew w żyłach,
To ją wysmokczą — serce wysuszą —
Mózg o waryackich zostawią siłach:—
Nie tak tu, nie tak... jak ci się może
Przyśniło, głośny szlachty upiorze!

Duch, ogień, młodość
Orla i żywa
Ogniem porywa
I z ducha czerpie...
Nad nią — na sierpie
Z blasków księżyca —
Boga Rodzica
W zorzy czerwonej,
Na wywróconej
Tęczy porannej!
A pod nią mgła
Z ognia i szkła —
W skrze nieustannej
Bałwany wznosząca:
By znieść ją z miesiąca
Z gwiazdami złotemi —
Postawić na ziemi —

Ogłosić królową
Piękność z płomieniem w sercu,
z gwiazdami nad głową...

Wyszła, wyszła z za obłoku,
Ludom się pokaże —
I na żniwie i na toku
Ujrzą ją żniwiarze!
Cała w słońcach — cała w błyskach,
Z kwiatem złotym w dłoni;
Pastuszkowie przy ogniskach
Zaśpiewają o niej!...
Ujrzą ją na polu trzody
I smętnie zaryczą;
Zadrżą drzewa — staną wody,
Sny z niej tęcz pożyczą! —
I zgromadzą się włódarze
Z kosami na roli...
Bo się w sercach — w śnie pokaże
Człowiek dobrej woli...

Bądźże żywotniejszej cery,
Bo cię żywym być przymuszę!...
Wygnaj z myśli Maryusze,
Cezary i Robespiery.
Z komet, z meteorów cyfer
Czytaj przyszłość, wieszczu młody...
Nie bądź w przyszłą noc pogody,
Jak ta gwiazda zła — Lucyfer,
Gdy słoneczny wóz wyciąga,
Jak pies — węża mając szyję —
I zła skrzy... i w oczy bije
I bezsennym się urąga! —
Bo my z bezsennego łoża
Wzrok rzucamy gorączkowy,
A ty łyskasz blaskiem noża...

Dziecko — lub zły duch Jehowy:
Bo nam tworzysz czarną marę
I w zrodzoną — rodzisz wiarę...

Ten, kto ojcu powie: Rakka!
Ten przeklęty... — Więc się bój!
Polski lud — to Ojciec twój:
Zeń, jak z Cierniowego Krzaka,
Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
Z wichru mając płaszcz i lice,
I na ciebie — jak na świécę —
Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć!

Więc się bój: — bo nie ja grożę,
Marny człowiek i twój brat...
Ale jakiś straszny świat
I widzialne światła Boże,
Z mocą, z wichrem i z szelestem
Rzucające się na Lud:
Strachy — które mówią: Cud!
Ognie — które szepcą: Jestem!

Więc się bój: — bo Duch się wdziera
Zewsząd i podważa wieże.
»Słaby — mówisz — rzeź wybiera?« —
A czy wiesz, co On wybierze?...
Może ludów zatracenie —
Może nam przyniesie w dłoni
Komet wichry i płomienie,
W których drży król, matka roni...
Działa, wozy, hufce, konie
Ogień pali — ziemia chłonie...
A nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch
Wieczny Rewolucyonista:
Pod męką ciał — leżący Duch!...

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie —
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie:
Przez Nas czyń Twoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci —
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy.
Wspomnij —
cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A duchaśmy nie dali;
Nie poznaliby Ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: »nie ciśnij!«...
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury:
Zatrwóż! — niech wrócą... błyśnij!
W tej błyskawicy, Panie, ujrzym się i zdaleka:
Brat pozna swego brata —
I wejdzie Nieśmiertelność, jako Anioł, w człowieka
I staniem Ludem świata!...

A tu niżej,
Pan poniży
Namiętnych.

Głos uciszysz —
A usłyszysz
Jęk smętnych:

Zebrzydowscy
I Zborowscy
W czerwonych deliach;

Błyskawice...
I dziewice
W bladych kameliach.

Chór przychodzi:
Zda się — w łodzi
O brzegi trąca.

Nad smętnemi
Lampa ziemi:
Okrąg miesiąca.

Zegar świata:
Ptak Piłata
Godzinę pieje.

Strach i nudności,
W grobach drżą kości —
Bezduch szaleje.

Duch uciska,
Mroczy i błyska,
Aż uzupełni

Wiek idący,
Bogiem błyszczący,
Jak miesiąc w pełni...

W takim hymnie, wieszczu, stój!
Bo pieśń taka pójdzie górą,
Nad podlejszych dusz naturą
Panująca. — Boży strój —
Do którego Bóg nagina
Wszystkie wieku tego struny —
Złączy dźwięki i pioruny,
Świat, co kocha i przeklina —
I błękitom rzuci na tła
Przemienioną krwawość w światła:
Anioł się z Aniołem zetrze,
Chrystus wejdzie na ciał złamy —
I z Chrystusem się spotkamy
A spotkania plac — powietrze!

Lecz dopóki ty i twoi,
Duchem Bożym nieskrzydlaci,
Chcecie stać na głowach braci,
Tak jak szatan dotąd stoi:
Ciałem — formą, która kuta
Od tysięcy lat we świecie,
Choć spróchniała — duchy gniecie,
Wyrobiona i przeżuta,
Przeświecona piekłem mara,
Dla was święta tem, że stara...
Póki wy — jakby z kamienia,
A kryjący strach kobiecy, —
Opieracie wasze plecy
O ten wiatr z gwiazd i z płomienia,
Który się jak słońce pali
I lud niesie, a was wali; —
Lecz dotychczas jeszcze szczędzi
Najpiękniejszych od zagłady,
Aż nie mogąc — dusz gromady
Przerażone z ciał wypędzi: —
To ja — pomny na potrzebę
Przyszłych ludzi, tych Cezarów,
Którym każdy stary narów
Kładł pod nogi kamień, glebę,
Męczenników pełną chatę,
Swój interes i prywatę —:
To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem
Charonowej twojej łodzi,
Pełnej trupów — poprzek staniem!

* * *

Związano wieniec z rzeczy przeklętych,
Lamp pogaszono tysiące świętych,
Pod jeden topór ludzkość się kładzie,
Zegary wszystkie stoją na zdradzie,
Prac przenajświętszych łamie się moc:
O, wielka noc! O, wielka noc!

Czujmy, bo kur wnet zapieje trzeci,
Ciemności wiecznych anioł przeleci!...

ŚPIEW DUCHÓW.

Gdy wyrośniesz na człowieka,
Staną ci sny, jak liczny wróg —
I stworzysz świat, jak tworzy Bóg;
Ale nie świat realnych scen,
Lecz nikły świat, jak ze snu — sen.

I złamiesz świat i pójdziesz wbrew
Wojskami mar przeciwko ciał
I będziesz myśl przemieniał w krew,
Nam dawał moc i od nas brał —
I będziesz król — lecz będziesz sam:
Albo więc idź, albo się złam...

Lecz jeśli duch przełamiesz twój,
Jeśli ty nas odgonisz w mgłę,
To wtenczas drżyj! — a silnie stój,
Bo my jak psy jesteśmy złe...
Z pękniętych serc, z serdecznych cisz
Drwimy jak grom, co bije w krzyż!

[ZE »SAMUELA ZBOROWSKIEGO«].

* * *

Ten sam duchowi płomienny szlak,
Ten sam słowiański orzeł i lew:
Tam gdzieś na wiedźmie krokt czy krak —
Ścierwo — orłowie — ogień i krew.

A tam gdzieś ludu słowiański syn
W zagrodzie swojej w modlitwie śni;
Bo dziś: — jak złotych aniołów gmin,
Wieczność: — jak złotych tysiące dni,

Niebo: — jak w kwiatkach błękitny len —
Przyszłą ojczyzną, piękną jak sen: — —
Bo on nie sławy, lecz Słowa syn,
On wie, co wielki znaczy się lud;
Nie padnie — on krwi szanuje czyn,
A czyn najwyższy odda za cud.

[Z fragmentów »KRÓLA DUCHA«].

*
* *

Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli,
Bośmy się duchem Bożym tak popili,
Że nam pogórza, ojczyste grobowce,
Przy dźwięku fletni, skakały jak owce:
A górom onym skaczącym, na głowie,
Stali olbrzymy — miecza aniołowie.

Ustały dla nas bić godzin zegary,
Duch nie miał czasu, a czas nie miał miary.
Szedł błyskawicą do wieczności progu
Duch — a stał wieczność — kiedy stanął w Bogu.
Zaprawdę, powiem, bracia moi mili,
Żeśmy się duchem przeświętym popili.

Teraz jesteśmy z ducha wytrzeźwieni:
Bracia rozumni — czciciele pieczeni!...
W głowach się nie ćmi, jak pierwej, słonecznie,
Fletnie nie grają, mogiły śpią wiecznie,
Czas nasz zgodzony z ziemi zegarami:
Stoim i śpimy.... a świat śpi pod nami.

* * *

Otrzymawszy wprzód na to jednomyślną zgodę,
Zgodzono się przedawać w pewnem mieście — wodę;
Jednego potem tylko człowieka złapano,
Który chciał dawać darmo — i ukrzyżowano.

* * *

Hosanna! ręce podnieśmy,
Hosanna!... język już niemy.
Synowie Boga jesteśmy:
Czem jutro — jeszcze nie wiemy.
Każdy silny... o pół kroka
Pchnąć globem — świat dzisiejszy,
A jutro jeszcze silniejszy;
Każdy, jak przepaść głęboka,
Płomieni pełna gorących
I świateł i uwidomień. —
O, Panie!... któż zerwie płomień
Z hełmicy pierwo-idących?
Któż tarcze postawi rzędem,
Któż rowy nasroży dzidą
Przed duchy — które już idą
Z nieśmiertelności rozpędem?
Dlatego, żeśmy Jehowę
Wezwali.... a ku niemu obrócili twarze:
Oto się już potęgi duchów piorunowe
Przy naszym kręcą sztandarze;
A gdy go wiatr odwinie.... to tak, jako wczora
Ludzi, którzy grobów strzegą,
Przeraził twarzą Boga żywego
I strachem Boga — upiora...

* * *

Wyjdzie stu robotników:
Oborzą miasta grunt,
Wyrzucą łokieć — funt;
Klatki, pełne wróblików,
Otworzą — i przed tłuszczą
Ptaszki na wolność puszczą...
Muzyka nieustanna:
Wolność! Wolność!... Hosanna!

Święci staną w katedrze —
Trzej.... i zawezwą ducha.
Lud księgi praw rozedrze,
Próchno kart porozdmucha;
Weźmie stare sztandary,
Wyprowadzi, jak mary,
Za kościół — na mogiły: —
Zapali, by świeciły
Światu dawnemi dzieły,
Błysnęły — i spłonęły.

Bije godzina ranna, —
Masy rzekły: Hosanna!...

* * *

O krzyż cię proszę modlitwą gwałtowną,
O krzyż i siłę pod rozdarciem ćwieka:
Całemu światu lampą tak cudowną
Stać się... gdzież większa jasność dla człowieka?

Panie! — Nie jest to, Panie, modlitwa nabożna
Albo prośba rycerza, który o krew woła...
Panie! bo złych inaczej pokonać nie można
Tylko w śmierci godzinie miłością anioła.

* * *

Dusza się moja zamyśla głęboko:
Czuje, że tu, jak słońcu, zajść potrzeba,
A innym ludziom zabłysnąć na oko...

Jakiego kraju i jakiego nieba
Światło powita mię w progu żywota? —
Nie wiem — lecz radbym żył z Polskiego chleba...

Bądźże mi lepsza — o, młodości złota,
Niż ta, która mi tutaj się skończyła,
A jeszcze dzwoni echem, jak tęsknota.

Bądźże mi blizko — o, matczyna, miła
Duszo — abym mógł znów ukochać Ciebie,
Nie wiedząc, żeś mię tutaj raz — rodziła.

* * *

Bom ja przed wieki był i byłem w Panu —
Ja moc światłości i tworząca siła;
Boska mię w sobie potęga stworzyła:
Jam winien dzisiaj nieszczęsnego stanu,
Jam winien ciała, które mnie uciska,
Jam elementa tworzył i zjawiska.

Przeze mnie stoją wielkie skał budowy,
Ze mnie są, które biją w nie, pioruny;
Kształty — to dawne ducha mego truny,
Starszym od globu, bom ja duch globowy;
Jam zórz rumieńcem... wychodzę podziemnie —
Jam jest duch — nic się nie stało beze mnie.

Ja świat do celów ostatecznych wiodę,
Ja wszelkie prawo kładę w sił objawie,
Ja potem — anioł — staję na tem prawie...

[Z fragmentów »KRÓLA DUCHA«]

* * *

Lud mówi: gdy zobaczysz, że gdzie skarby płoną,
Rzuć nitkę — abyś znalazł po dniu miejsce ono.
Dla nas to, nieśmiertelnych duchów, jest nauka:
Każdy zaznasz, co znalazł duch — a czego szuka;
Nić niech będzie przez gmachy, księgi, piramidy.

* * *

Potęgę pieśni z łona mi wyjęto,
Światły Boskiemi ducha obciążono...
Duch mam straszliwy — lecz krew lodem ściętą,
Duszę świecącą — lecz nie zapaloną.
Jako wół jestem, gdy liściami wonna
Jesień — a ptaszki świerkają po wzgórzach —
I ciągle we mgłach brzmi piosnka pogonna,
Chłopska, co go gna...

[Z fragmentów »KRÓLA DUCHA«].

* * *

W ostatni dzień, w ostatni dzień
Wyście — podróżne tu ptaki —
Spotkały suchy dębu pień,
Co od piorunów miał znaki.

Lecz gdy go śpiew poruszył wasz,
Gdy głos doleciał z Ojczyzny,
Z dębu strzeliła piękna twarz —
Z pod kory — ze spalenizny.

Z pod liści błysnął złoty łuk
I ręka — i kawał korony:
W dębie słowiański mieszkał Bóg
I wam się pokazał zjawiony.

* * *

Młodych śmierć nie może minąć,
Tak nam ojców mądrość gada. —
Gdyby spytał, jaka rada,
Leonidas, wódz spartański, —
Powiedziałbym: iść i ginąć!
Bo ja jestem Anioł Pański;
Duszę mogę wziąść na siebie:
Ziemi bryłką nie pogrzebie
Tych, co wierzą, jak ja wierzę....

*
* *

A jednak ja nie wątpię, bo się pora zbliża —
Że się to wielkie światło na niebie zapali...
I Polski Ty — o, Boże — nie odepniesz z krzyża,
Aż będziesz wiedział, że się jako trup nie zwali.

Dzięki Ci więc — o, Boże — że już byłeś blizko,
A jeszcześ twojej złotej nie odsłonił twarzy;
Aleś nas, syny twoje, dał na pośmiewisko,
Byśmy rośli, jak kłosy, pod deszczem potwarzy.

Takiej chwały od czasu, jak na wiatrach stoi
Glob ziemski — na żadnego nie włożyłeś ducha:
Że się cichości naszej cała ziemia boi
I sądzi się, że wolna jak dziecko, a słucha...

*
* *

O, nieszczęśliwa! o, uciemiężona
Ojczyzno moja! — raz jeszcze ku tobie
Otworzę moje krzyżowe ramiona:
Wszakże spokojny, bo wiem, że masz w sobie
Słońce żywota...

*
*   *

Jeśli się duchem w gwiazdy, jak kamień, wyrzucę:
Zajaśnieję — i może głazem być nie wrócę.

* * *

Drą się o wolność... Boże, nachylaj im grzbietu! —
Bo wolność jest jakoby posiadanie fletu:
Jeśli go weźmie człowiek muzyki nie świadom,
Piersi straci — i uszy sfałszuje sąsiadom.

*   *   *

Znajdź najszlachetniejszego — a potem cierpliwy,
Buduj kraj, w którymby ten święty był szczęśliwy.

* * *

Anioł ognisty — mój anioł lewy
Poruszył dawną miłości strunę...
Z tobą! — o, z tobą! gdzie białe mewy,
Z tobą pod śnieżną, sybirską trunę —
Gdzie wiatry wyją tak jak hyeny — —
Tam, gdzie ty pasasz na grobach reny...

Z grobowca mego rosną lilije;
Grób jako biała czara prześliczna:
Światło po nocy z pod wieka bije
I dzwoni cicha dusza muzyczna. —
Ty każesz światłom onym zagasnąć,
Muzykom ustać — duchowi zasnąć.

Ty sama jedna na szafir święty
Modlisz się głośno — a z twego włosa
Jedna za drugą, jak dyamenty,
Gwiazdy modlitwy lecą w niebiosa...

* * *

O, przyjdź! — śpiewała — bo gołębi stadem
Wysyłam na wsze wiatry ognie moje;
O, przyjdź! z kwiatami czekam — z winogradem,
Na łonie białem złożę i upoję...
O, przyjdź — miesiąca i złodzieja śladem!
A otwórz cicho jak anioł podwoje,
A od miesiąca weź kluczy złotego — —
Cicho jak ogień szeptaj, bo mnie strzegą.

Gwiazdy zliczyłam idące po niebie,
A ciebie niema... mój piękny i młody.
O, przyjdź! w płomieniach cała czekam ciebie,
Rajskie-ć gotuję kwiaty i jagody:
Jestem pierzchliwa jako młode źrebię,
Jestem jak jagnię najsmaczniejsze z trzody, —
Jak gołębica jestem nieobronna,
A jestem, jak kwiat rajski, cała wonna.

Nie znajdziesz, czegom nie obiecywała,
Lecz obiecuję, czego dusza pragnie — —
Przyjdź — a lichtarze złociste zapalę,
Zakadzę drogim, wonnym cynamonem —
A jeszcze jaśniej przez mych ust korale —
I jeszcze śnieżniej zabłysnę ci łonem...

[Pieśń Krystyny z »KRÓLA DUCHA].

* * *

O, tajemnico dziwna zapłodnienia:
Głąb twoja dziwną pięknością przeraża!
Duch się w żywocie matczynym przemienia
I wszystkie formy w odmianach powtarza:
Naprzód jak anioł w odłamie kamienia; —
Potem wąż — potem skrzydła sobie stwarza;
Z ptaka się we lwa, karmionego mlekiem,
Przewierzga — ze lwa wychodzi człowiekiem.

Wtenczas zatrząsa jak mocarz więzieniem,
Bramy otwiera jak anioł potężny;
Wychodzącego widzą z przerażeniem
Ludzie — —

[Z fragmentów »KRÓLA DUCHA«].

*
* *

Baranki moje!
Zawitał czas:
Nad piękne zdroje
Powiodę was;
Puszczę was — owieczki —
Na piękne kwiateczki
I będę pasł.

Baranki z ducha,
Jam pasterz wasz!
Pan Bóg mnie słucha...
Ozłocił twarz.
Bogiem promienny,
Odprawiam bezsenny
Anielską straż.

DO AUTORA »SKARG JEREMIEGO«.

Ojczyzna, twoja święta kochanka,
Chodzi po łąkach — Pani słoneczna;
Ty idziesz za nią, jak duch baranka,
I wołasz: Wieczna!

Jeżeli drogę tęczami znacząc,
Wyżej poleci i tonie w mgłę:
To ty, baranek, stajesz — i płacząc,
Wołasz: We! we!

Jeżeli z kwieciem ona swawoli
I dłoń litośną o cierń rozporze:
To ty jak dziecię wiesz, co ją boli,
I wołasz: Boże!

Gdy owies Polski jak srebro brzęczy,
Grusza szeleści i szumi kłos:
Słyszy Marya pod bramą z tęczy
Baranka głos —

Słyszy i mówi: Głośniej niż Święci,
Głośniej niż luteń anielskich strój,
Woła mnie z Polski od sianożęci
Baranek mój.

Trawki nie skubie, kwiatków nie zrzyna,
Lecz oczy podniósł w słoneczną mgłę
I wciąż się skarży jako dziecina:
We! we! — we! we!

Przezeń więc światu moja przytomność
Rozbudza czucie, porusza czynność: —
Bo w ustach jego baranka skromność,
W głosie niewinność.

Paryż, w listopadzie 1847 r.

* * *

Niedawno jeszcze wasze mogiły
Trąciłem piosnką moją — wygnanko!
I wnet się ze snu grobów ruszyły —
Wnet się ruszyły, o, Krakowianko!

Niedawno mój duch ogniami dmuchnął
Na górę Heklę tak jak prorocy —
I wnet z pod ziemi wulkan wybuchnął,
Od stu lat śpiący.... wulkan północy.

DAJĘ · WAM · TĘ · OSTATNIĄ · KORONĘ · PAMIĄTEK ·
I · ŁEZ · I · DAWNYCH · MOICH · NADZIEI · KORONĘ ·

DAWNIEJ · MYŚLAŁEM · RZECZY · VCZYNIĆ · SZALONE ·
WAMI · ZAŁOŻYĆ · NOWYCH · NARODÓW · POCZĄTEK ·

LECZ · MI · TERAZ · WYSTARCZY · MAŁY · ZIEMI · KĄTEK ·
GDZIE · W · DESKOWEJ · SIĘ · ZAWRĘ · MVSZLI · I · VTONĘ ·

SKOROWIDZ ABECADŁOWY TREŚCI

(WEDLE TYTUŁÓW LUB SŁÓW POCZĄTKOWYCH).

WYDAWNICTWA JAKÓBA MORTKOWICZA:

POD ZNAKIEM POETÓW:

STANISŁAW KORAB BRZOZOWSKI
NIM SERCE UCICHŁO

WINCENTY KORAB BRZOZOWSKI
DUSZA MÓWIĄCA

BRONISŁAWA OSTROWSKA
CHUSTY OFIARNE

JULIUSZ SŁOWACKI
UTWORY LIRYCZNE
Wybór i układ STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO

LIRYKA FRANCUSKA. *Serya pierwsza*
Przekłady BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

LIRYKA FRANCUSKA. *Serya druga*
Przekłady BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

ZYGMUNT KRASIŃSKI
POEZYE WYBRANE
w układzie STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO

JULIUSZ SŁOWACKI
PISMA MISTYCZNE
wybrane i ułożone przez STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO

DALSZE TOMY W DRUKU I PRZYGOTOWANIU.

WYDAWNICTWA JAKÓBA MORTKOWICZA:

POLSKA EDYCYA DZIEŁ FRYDERYKA NIETZSCHEGO W WYD. CAŁKOWITEM

[BEZ SKRÓCEŃ]

	Rb. k.
TAKO RZECZE ZARATUSTRA	
Cztery części. Przełożył WACŁAW BERENT	
wydanie ozdobne z portretem Nietzschego — akwafortą oryginalną F. Siedleckiego	3.—
wydanie ozdobne w oprawie	3.50
» wytworne w 25 numerowanych egzemplarzach	7.50
» zwykłe tanie	1.60
POZA DOBREM I ZŁEM	
przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI	
wydanie ozdobne	2.—
» » w oprawie	2.50
» wytworne w 10 numerowanych egzemplarzach	5.—
Z GENEALOGII MORALNOŚCI	
przełożył LEOPOLD STAFF	
wydanie ozdobne	2.—
» » w oprawie	2.50
» wytworne w 10 numerowanych egzemplarzach	5.—
DYTYRAMBY DYONIZYJSKIE	
przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI	
wydanie ozdobne	—.60
» » w oprawie	1.35
» wytworne w 10 numerowanych egzemplarzach	1.10
ZMIERZCH BOŻYSZCZ	
przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI	
wydanie ozdobne	1.20
» » w oprawie	1.70
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach	2.75
WIEDZA RADOSNA	
przełożył LEOPOLD STAFF	
wydanie ozdobne	2.50
» » w oprawie	3.—
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach	6.—

WYDAWNICTWA JAKÓBA MORTKOWICZA:

Rb. k.

DZIEŁA CYPRYANA NORWIDA

Pierwsze kompletne krytyczne wydanie w ośmiu tomach.
w układzie i pod redakcyą ZENONA PRZESMYCKIEGO (MIRIAMA)

WYBÓR PISM EDGARA ALLANA POEGO

w przekładzie ARTURA GÓRSKIEGO I STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO.

VILLIERS DE L'ISLE-ADAM

OPOWIADANIA

wybór i przekład ZENONA PRZESMYCKIEGO

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

STUDYA NAD KRÓLEM DUCHEM

Część pierwsza
MISTYKA SŁOWACKIEGO

Część druga
KRÓL DUCH

DZIEJE SZTUKI

Malarstwo, rzeźba, budownictwo, sztuka stosowana, kultura artystyczna.